12 stron

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 10 zł.
(9 zł + 1 zł na Dom Słowa Polskiego)

M. B. P. w Łodzi

„GRANICĄ, W KTÓREJ OBRĘBIE SYMBOL LITERACKI ZACHOWUJE ZNACZENIE NIEZMIENIONE, JEST GRANICA KLASY..."

Stefan Czarnowski

Rok 2 | Łódź, 21 października 1946 r. | Nr 41 (59)

MAURYCY JAROSZYŃSKI

Autonomia szkoły czy autonomia nauki?

1

O autonomii szkół akademickich mówi się dzisiaj i często i wiele. Słowo „autonomia" wymawia się nawet w pewnych sferach ze szczególnym namaszczeniem, graniczącym z dewocją. A jednocześnie rzecz po prostu nie do wiary, jak często ci zwłaszcza, którzy najwięcej o niej mówią i uważają ją za nietykalną świętość, nie zdają sobie sprawy z istotnej jej treści i wartości. Rzecz się ma tak, jak z Bogiem: nazbyt często wzywa się Jego imienia nadaremno.

A tymczasem autonomia, jak wszystko co ludzkie, ma swój sens wtedy i tylko o tyle, kiedy i o ile cele jej stawiane uznamy za słuszne w aktualnym układzie stosunków społecznych, a ją samą za sposobne narzędzie realizacji tych celów. Czyli jedynie tylko użyteczność może być miarą jej wartości.

Podkreślam: *w aktualnym układzie stosunków. Albowiem w różnych epokach, odznaczających* się zasadniczo odmiennym układem stosunków społecznych, zmienia się funkcjonalna treść w zasadzie a raczej *formalnie jednej i tej samej instytucji. Inaczej* mówiąc, formalnie te same instytucje mogą służyć w różnych epokach różnym celom, zachowując przez to swój życiowy sens. Albo też — mogą ten sens stracić.

Mówiąc o autonomii szkół akademickich t. j. poszczególnych szkół, bo taka tylko istnieje, nie mam bynajmniej zamiaru dociekać jej prawnej istoty. Uczynili to już inni i u nas (Hubert, Wasiutyński) i gdzie indziej. Z zupełną świadomością posługują się nawet niewłaściwym w danym przypadku, bo nie odpowiadającym z punktu widzenia teorii istocie rzeczy, terminem „autonomia", gdyż tego miana używa się powszechnie w języku potocznym. Nie mam również zamiaru poszukiwać genezy autonomii ani oceniać jej roli i zasług w przeszłości. Albowiem to, o co mi chodzi, jest tylko a k t u a l n a użyteczność czyli funkcjonalna wartość autonomii.

2

Chcąc ocenić wartość czegokolwiek, trzeba najprzód ustalić kryteria oceny.

A więc szkoły akademickie mają służyć rozwojowi nauki, jako placówki badawcze oraz instytucje specjalnego rodzaju nauczania. Aby nie komplikować zagadnienia, przyjmijmy tę tezę, jako z gruba słuszną i powstrzymajmy się od wszelkich głoss i zastrzeżeń. Krótko mówiąc, szkoły mają służyć nauce. Ale cel ten mają one spełniać w konkretnej rzeczywistości, w dzisiejszej, nowej rzeczywistości społecznej. Ten nowy układ stosunków społecznych narzuca w dziedzinie nauki dwa zasadnicze postulaty.

Pierwszy, to konieczność naukowej podbudowy we wszystkich dziedzinach życia. Zdawałoby się, że w zasadzie nie jest to nic nowego, jako że nauka była zawsze prekursorem postępu cywilizacyjnego. Do niedawna jednak fakt ten był jedynie faktem, stwierdzanym ex post. Obecnie wszedł on w treść świadomości i woli społecznej, stał się p o s t u l a t e m : chcemy szybkiego postępu, dlatego będziemy rozwijać naukę. Oznacza to wywyższenie nauki w ogólnej hierarchii funkcji społecznych. Aspekt dodatkowy, acz bardzo istotny i charakterystyczny dla obecnej epoki stanowi jeszcze ta okoliczność, że owoce postępu cywilizacyjnego mają spożywać masy, społeczeństwo, całe, a nie tylko wybrańcy, jak było dotychczas.

Drugi postulat wypływa z pierwszego, jest bowiem warunkiem jego realizacji. Mianowicie: społeczeństwo chce zaspakajać swoje potrzeby w sposób przewidujący i planowy, stąd i nauka i wszystko, co się z nią wiąże, musi być integralnie włączone w plan ogólnopaństwowy.

W tym stanie rzeczy pytanie, które nas w tej chwili zajmuje, brzmieć będzie: czy ten temat — że sytuacja szkolnictwa wyższego, którą nazywamy autonomią akademicką, jest odpowiednim instrumentem do realizacji wymienionych postulatów, albo przynajmniej — czy z nimi nie koliduje?

Warto jeszcze zaznaczyć na marginesie — nie wdając się w bliższe rozważania na ten temat — że sytuacja szkolnictwa wyższego na tle organizacji wszystkich środków, służących nauce, uległa i ulega bardzo poważnym zmianom. Kiedy bowiem dawniej szkoły akademickie były jedynymi albo prawie jedynymi ośrodkami naukowych badań, to dziś do coraz większego znaczenia dochodzą na tym polu inne, pozaszkolne placówki, zwane przeważnie instytutami. Placówki te odgrywają również coraz większą rolę w przygotowaniu kadr naukowców, oczywiście poza podstawowym, szkolnym wykształceniem. Ta marginesowa uwaga może się przydać przy wyciąganiu niektórych konkluzji.

3

Z kolei musimy rozpatrzyć główne problemy organizacji szkolnictwa akademickiego, które mają lub przynajmniej mogłyby mieć swój wyraz w instytucji autonomii szkół akademickich. O autonomii jednak będziemy mogli mówić dopiero wtedy, kiedy organom szkoły przysługują jakieś istotne uprawnienia, świadczące o ich samodzielności. Samo uprawnienie do wypowiadania opinii, choćby zasięganie jej było w danych przypadkach obowiązkowe, nie stanowi jeszcze treści autonomii. Podobnie, jak samo istnienie organów autonomicznych bez względu na ich uprawnienia nie jest jeszcze autonomią z naszego punktu widzenia.

Problemy, o które chodzi, postaram się, ze względu na cel niniejszych rozważań, ująć funkcjonalnie. Są one: 1. organizowanie samego szkolnictwa naukowego, jak również organizowanie nauki i nauczania w obrębie szkół; 2. funkcje administracyjne i gospodarcze; 3. dopływ sił naukowych do szkół. Te trzy zagadnienia uważam za kluczowe w całym problemie szkół akademickich, dlatego na nich przede wszystkim chciałbym skoncentrować uwagę czytelnika.

4

Problem pierwszy jest z pewnością najważniejszy. Rozpada się on na szereg kapitalnych zagadnień szczegółowych o podstawowym znaczeniu.

A więc przede wszystkim ustalenie s i e c i s z k ó ł a k a d e m i c k i c h łącznie z określeniem typu poszczególnych z nich. Sieć może się wyrażać albo w mniej więcej idealnym planie, obejmującym całość zamierzeń i realizowanym stopniowo, albo tylko w faktycznym jej tworzeniu przez akty kreowania poszczególnych szkół i określania ich typu. U nas plan sieci szkolnej nie istnieje dotychczas, albo może stanowi reservatio mentalis organów centralnych. Gdyby był, należałby on do kompetencji władz centralnych. Podobnie kreowanie poszczególnych szkół należy z natury rzeczy do władzy centralnej, a mianowicie do ustawodawcy. Nie ma tu więc żadnego pola dla autonomii poszczególnych szkół.

To samo dotyczy generalnych ram organizacyjnych szkolnictwa akademickiego, ujętych u nas w formę ustawy o szkołach akdemickich. Wprawdzie ustawa ta pozostawia pewne pole organom „autonomicznym" poszczególnych szkół co do bliższego określenia organizacji danej szkoły w formie t. zw. statutu, który uchwalają autonomiczne władze szkoły, a zatwierdza Minister Oświaty. W rzeczywistości jednak jest to tylko pozór albo dekoracja: wszystkie istotne elementy organizacyjne są bowiem z góry przesądzone w ustawie albo zastrzeżone Ministrowi Oświaty tak, że zwłaszcza w zakresie organizacji nauki statutowi nie pozostaje nic istotnego do zdecydowania.

Do drogi ustawy jest zastrzeżone również tworzenie i rozwijanie wydziałów, a więc funkcja nadawania poszczególnym szkołom właściwego typu.

Natomiast łączenie, dzielenie, przekształcanie i zmiana nazwy wydziałów, tworzenie, przekształcanie i znoszenie oddziałów (sekcji) oraz zakładów i studiów specjalnych w obrębie wydziałów, a także kreowanie i znoszenie poszczególnych katedr, należy do Ministra Oświaty, który decyduje w tych materiach po wysłuchaniu opinii właściwych rad wydziałowych.

W jednym jedynym wypadku ustawa zastrzega głos bardziej istotny radom wydziałowym: oto zwinięcie o b s a d z o n e j katedry może nastąpić jedynie na wniosek rady wydziałowej. Ograniczenie jednak tego wyjątku do katedr obsadzonych świadczy wyraźnie, że nie chodzi tu o aspekt organizacyjny, a jedynie personalny, a mianowicie o nieusuwalność profesora.

Wreszcie ostatnim ogniwem w organizowaniu nauki i nauczania jest normowanie programów i porządku studiów tudzież sprawy egzaminów i uzyskiwania stopni naukowych i zawodowych. Funkcja ta należy do Ministra Oświaty, radom wydziałowym zaś służy głos jedynie doradczy.

Jedyną funkcją z zakresu organizowania nauki w szkole akademickiej, wykonywaną samodzienie przez organa autonomiczne szkoły (w danym przypadku rady wydziałowe) jest ustalanie corocznych programów wykładów i ćwiczeń. Oczywiście czynność tę wykonywują rady w ramach z góry danej struktury nauk w danej szkole i w ramach z góry danego programu studiów. Czyli zadanie rad jest czysto porządkowe i przypomina układanie podziału godzin w szkołach średnich.

Sumując, należy stwierdzić, że w zakresie istotnych zagadnień organizacji nauki i nauczania w szkole organom „autonomicznym" służy głos co najwyżej doradczy. Z pewnością, życiowo rzecz traktując, funkcji opiniowania nie należy lekceważyć; ale jest rzeczą nie mniej pewną, że funkcja ta nie wystarcza, aby wypełnić treścią „autonomię" szkoły. Dlatego też, podchodząc do sprawy autonomii od strony funkcjonalnej i poszukując istotnej treści w autonomicznych formach, musimy dojść do wniosku, że formy te w zakresie organizowania nauki i nauczania są w rzeczywistości puste.

Czy wobec tego należałoby autonomię szkoły w tym zakresie urealnić i nadać jej organom prawo samodzielnej decyzji w dziedzinie organizowania nauki i nauczania? Nie sądzę, żeby to było słuszne, a nawet możliwe. Albowiem co jak co, ale organizowanie nauki i nauczania wiąże się jak najściślej z postulatem planowości ogólno-państwowej, nadawanie przeto poszczególnym szkołom konkretnych uprawnień w tej dziedzinie stawałoby oczywiście w poprzek tak bardzo słusznym tendencjom do uplanowienia.

Stwierdzając, że autonomia szkoły w omawianym zakresie jest praktycznie fikcją, warto równocześnie zapamiętać, że decydującym czynnikiem w tej mierze jest w pewnych przypadkach ustawodawca, w innych, bardzo ważnych i licznych, Ministerstwo Oświaty. Ale czy dobrze jest tak, jak jest, o tym pomówimy potem.

5.

W dziedzinie gospodarki materialnej szkoły akademickiej mamy znowu do czynienia z pewnymi ułudami autonomii.

Przede wszystkim — szkoła posiada osobowość prawną. Miało to z pewnością swój wielki sens w przeszłości, kiedy uznaniu szkoły za odrębny podmiot prawa towarzyszyło rzeczywiste wyposażenie tej i owej szkoły w obiekty majątkowe, które odgrywały poważną rolę w zaspakajaniu materialnych potrzeb nauki. Sytuacja zmieniła się jednak radykalnie. Wprawdzie i dzisiaj jeszcze szkoły są właścicielkami różnych objektów majątkowych, ale wobec ogromu potrzeb majątek ten odgrywa rolę przysłowiowej kropli w morzu. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby koniecznie należało „wywłaszczyć" szkoły i pozbawić je przymiotu samoistnych osób prawnych. Chcę tylko wskazać na to, czy będzie tak, czy inaczej — nie ma to praktycznie istotnego znaczenia.

Zaspakajanie potrzeb materialnych nauki w ogóle, a szkół akademickich w szczególności, odbywa się już od dawna i z wszelką pewnością odbywać się będzie nadal i to na coraz szerszą skalę poprzez budżet państwowy. To jest proces, jak to się dzisiaj mawia, nieodwracalny. A w państwowej gospodarce budżetowej „autonomiczne" organa szkoły nie mają i nie mogą mieć innej roli do odegrania, jak tylko rolę petentów. Autonomiczna dekoracja nie stawia ich w sytuacji ani o jotę lepszej, aniżeli sytuacja dyrektora jakiegoś nieautonomicznego instytutu czy choćby kierownika urzędu, formułujących i uzasadniających wnioski budżetowe.

O ile „autonomia" w zakresie finansowania szkoły jest fikcją, o tyle jest ona zjawiskiem wyraźnie szkodliwym w dzisiejszych formach wykonywania bieżących czynności, związanych z administracją szkoły. Albowiem — oczywiście przy pomocy urzędników administracyjnych szkoły — organa „autonomiczne", przede wszystkim jednoosobowe, a więc rektor, prorektor, dziekan i prodziekani — sprawują rzeczywiście ogół czynności bieżącej administracji.

Mamy więc obraz taki, że w każdej szkole akademickiej grupa nieraz pierwszorzędnych uczonych poświęca się z zapałem i poświęceniem naprawdę godnym lepszej sprawy ogromowi drobiazgów administracyjnych. Czyni to oczywiście z największą szkodą nie tylko dla swych obowiązków badawczych, ale także bieżących obowiązków nauczania. Rezultaty bywają różne. Niekiedy zabłysną istotnie znakomite, choć samorodne, talenty administracyjne. Ale często gęsto „amatoryzm" administracyjny (jak mówią Amerykanie) święci triumfy i nierzadko potwierdza się reguła, że niezawodowiec w administracji grzeszy większym biurokratyzmem, aniżeli najbardziej zawodowy biurokrata. Zawodowość w administracji zwyciężyła na całym świecie i zapanowała nawet w najpodlejszej gminie. Dlaczegoż miałaby ominąć nasze uniwersytety?

Nie znaczy to bynajmniej, aby nauczyciele akademiccy nie mieli do odegrania bardzo istotnej roli w administracji szkoły. Między nimi w szkole, a czynnikiem obywatelskim np. w gminie, istnieje ścisła paralela. Do czynnika obywatelskiego należy mianowicie, biorąc rzecz nie tyle podług formalnych uprawnień, ile podług doświadczeń dziwnie w całym świecie jednolitych, ustalanie wytycznych (o ile oczywiście nie są one z góry ustalone obowiązującymi przepisami) i kontrola wykonywania. Tak samo powinno być w szkole: niech administrują odpowiedzialni fachowi administratorzy, a uczeni niech tylko dają dyrektywy i kontrolują, jako że celem administracji szkolnej jest dobro nauki.

Inna sprawa, czy taki układ stosunków, odpowiadający ze wszech miar potrzebie, wymaga pretensjonalnych form „autonomii" szkoły. Sądzę, że raczej nie.

6.

Dochodzimy do kapitalnego problematu nauczycieli akademickich. Z góry powiedzmy, że w obowiązującym ustroju szkół akademickich na tym właśnie polu „autonomiczność" szkoły występuje najwyraźniej i przejawia się w stosunkowo najbardziej realnych funkcjach organów szkoły.

Ważność tego problemu wynika z dwóch powodów. Po pierwsze z doniosłości roli, jaką w pracy naukowej i nauczaniu w szkołach akademickich odgrywa nauczyciel. Po wtóre z tego powodu, że zespół nauczycieli akademickich danej szkoły stanowi tworzywo, z którego wyłącznie formuje się autonomiczne organa szkoły.

Na czoło wysuwa się oczywiście sprawa rekrutacji nauczycieli akademickich.

Normalnym kanałem dopływu nowych sił do grona nauczycieli akademickich danej szkoły jest habilitacja. Po pomyślnym przeprowadzeniu przewodu habilitacyjnego kandydat staje się docentem t. j. zyskuje prawo (i ma obowiązek) wykładania na danym wydziale.

Z punktu widzenia celu naszych rozważań należy podkreślić, że zarówno proces habilitacji, jak i sam charakter docenta, są ściśle związane nie tylko z danym wydziałem, ale nawet z katedrą danego przedmiotu na danym wydziale.

Organem wyłącznie upoważnionym do przeprowadzenia przewodu habilitacyjnego jest rada wydziału. Przewód rozpoczyna się oceną kwalifikacji osobistych kandydata, kwalifikacji, bliżej przez przepisy nie zdefiniowanych. Ocena ta jest pozostawiona całkowitej dyskrecji rady: nie wchodząc w ocenę pracy naukowej kandydata i jego kwalifikacji pedagogicznych, rada według całkowicie swobodnego uznania może bezapelacyjnie orzec, że kandydat nie posiada kwalifikacji osobistych. Wtedy nie pozostanie mu nic innego, jak szukać szczęścia w innych szkołach. Jest jednak rzeczą wątpliwą, czy je tam znajdzie.

Drugą część przewodu habilitacyjnego stanowi ocena kwafilikacji naukowych i pedagogicznych. Punkt ciężkości spoczywa w ocenie rozprawy habilitacyjnej. Do tego celu rada powołuje referentów, którymi mogą być tylko profesorowie (zwyczajni i nadzwyczajni), wykładający dany przedmiot lub przedmioty pokrewne. Wolno powołać także profesorów z innych uczelni, co jednak nie ma istotnego znaczenia, bo rada nie jest formalnie związana opinią referentów i zarówno o rozprawie habilitacyjnej, jak i o całości przewodu habilitacyjnego orzeka ostatecznie według swobodnego uznania.

Akt habilitacji podlega zatwierdzeniu Ministra Oświaty. Jest to zabezpieczenie przed zbytnią pochopnością rad wydziałowych do habilitowania. Natomiast nie ma żadnego środka zabezpieczającego przed nadmiernymi restrykcjami i ekskluzywnością.

Tak się przedstawia sprawa habilitacji w świetle obowiązujących przepisów. Jak z tego widać, kanał dopływu młodych sił do grona nauczycielskiego jest nadzwyczaj wąski. W tych ramach prawnych zwęża się on jeszcze bardziej w praktyce. W praktyce bowiem czynnikiem decydującym o habilitacji staje się profesor danego przedmiotu na danym wydziale. A uczeni są tylko ludźmi i nie obce im są ludzkie przywary i słabości. To też habilituje się zazwyczaj swoich uczniów i swoich asystentów. Tymczasem postęp zaczyna się od krytyki, ludzie jednak nie lubią być krytykowani. Sekciarstwo i klikowość nie są również obce światu naukowców.

Całość organizacji habilitacji przypomina bardzo średniowieczne wyzwoliny w rzemiośle. Jest majster i jest czeladnik — ze wszystkimi dobrymi, ale i złymi konsekwencjami.

I jakżeż średniowieczne wyzwoliny mają sprostać wymaganiom nowoczesnej produkcji naukowej?

7.

Obsada katedr jest drugą ważną sprawą z omawianego zakresu. Mówiąc o niej będziemy mieli na myśli stan, uznany dotychczas za „normalny" t.j. nie biorąc pod uwagę dekretu z 16 listopada 1945 r., zawieszającego w tym punkcie autonomię uniwersytecką na dwa lata.

Otóż punkt ciężkości obsady katedr spoczywa znowu w radach wydziałowych. W razie zawakowania katedry (czyli stanowiska profesora) rada rozpisuje t. zw. ankietę t. j. zwraca się do wszystkich profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, wykładających dany przedmiot w szkołach akademickich, o zgłaszanie kandydatur. Wynik ankiety stanowi jednakże jedynie materiał, który ocenia komisja specjalna, wyłoniona przez radę. Na tej podstawie rada wybiera kandydata i przedstawia Ministrowi Oświaty do mianowania. Minister — w „normalnym" stanie rzeczy t. j. abstrahując od noweli z r. 1945 — może się z wnioskiem nie zgodzić; wtedy jednakże nie przedstawia własnego kandydata do mianowania przez Prezydenta Rzeczypospolitej, lecz zwraca całą sprawę do rady wydziałowej w celu przedstawienia innych kandydatur.

Należy zaznaczyć, że rada może zgłosić kandydaturę na wakującą katedrę nie tylko spośród osób, które przeszły proces habilitacji i uzyskały stempel docenta, lecz także spośród innych pracowników naukowych. Jednakże z tej teoretycznej możliwości rzadko rada skorzysta w praktyce, chyba — w ostateczności. Bo z reguły przedstawi „swojego człowieka" t.j. habilitowanego przez siebie docenta, na drugim miejscu sięgnie do rezerwuaru docentów z innych uczelni, a dopiero w braku kandydatów tych dwóch kategorii przedstawi kogoś całkowicie „obcego". Moment bliskości personalnej będzie w każdym razie ważniejszy, aniżeli walory naukowe i pedagogiczne kandydatów. Takie jest bowiem życie.

Ten „normalny" bieg rzeczy skrzyżował się z „nienormalnym" wprowadzonym nowelą z r. 1945. W myśl tej ostatniej Minister Oświaty może w ciągu dwóch lat przedstawiać do nominacji profesorów niezależnie od wniosku rady wydziałowej, a jedynie po wysłuchaniu jej opinii, która go nie wiąże. Ta sama nowela daje Ministrowi prawo przenoszenia profesorów z jednej szkoły do innej na analogiczne katedry. Jednakże to zawieszenie autonomii i to w najistotniejszym jej punkcie nie odgrywa dotychczas poważniejszej roli w kształtowaniu stosunków w szkolnictwie akademickim. Bo nie słychać, aby Minister Oświaty korzystał na szerszą skalę z przysługujących mu uprawnień. W praktyce odbywa się wszystko po staremu.

Nowela, zawieszająca autonomię, zasługuje na uwagę z innego jeszcze punktu widzenia. Powiada ona mianowicie, że Minister Oświaty może obsadzić wakującą katedrę profesorem innej uczelni albo docentem, a jedynie w wyjątkowych wypadkach kandydatem spośród niehabilitowanych pracowników naukowych. W ten sposób nowela mocniej jeszcze, niż sama ustawa, podkreśla, że regularna droga do katedry wiedzie przez habilitację.

Dodajmy do pełności obrazu, że pomocnicze siły naukowe mianuje rektor na wniosek rady wydziałowej. Nowela daje wprawdzie Ministrowi Oświaty możność zastrzeżenia sobie prawa nominacji, ale tylko w stosunku do nowotworzonych etatów. Czyli pierwszy sposób nominacji jest regułą, drugi wyjątkiem i to bardzo ścieśnionym już przez sam przepis prawny, a jeszcze bardziej przez praktykę. Jest to zaś zagadnienie bardzo ważne, jako że chodzi tu w pierwszym rzędzie o asystentów, spośród których rekrutuje się zazwyczaj docentów.

8.

Jak widać z powyższego przeglądu, trzy są regularne szczeble kariery naukowej w szkole akademickiej: asystentura, docentura, profesura. Na przejście przez każdy z nich wpływ decydujący wywiera rada wydziałowa danej szkoły. Inaczej mówiąc, „autonomia" poszczególnych szkół jest w tej najważniejszej dla organizacji szkolnictwa wyższego dziedzinie funkcją realną. Mówiąc jeszcze inaczej, dobór nauczycieli akademickich dokonywa się drogą kooptacji przez każdą ze szkół z osobna. W praktyce kooptacja przez zespół nauczycieli danej szkoły zwęża się i przybiera postać wyznaczania następców przez dotychczasowych dzierżycieli danych katedr.

Przypuśćmy, że w zakreślonych ramach prawnych wszystko dzieje się jak najlepiej i że ludzkie słabości i przywary, a także tendencje i uprzedzenia polityczne i społeczne, nie dochodzą do głosu. Przyjmując takie optymalne założenie, jakżeż dalekie od rzeczywistości, dojdziemy przecież do wniosku, że owa na średniowiecznych tradycjach oparta mechanika tworzenia i uzupełniania kadr nauczycielskich nie może pod żadnym względem odpowiedzieć nowoczesnym wymaganiom, stawianym nauce i szkołom wyższym. Bo w wyniku „autonomicznego" samouzupełniania się grona nauczycielskiego można osiągnąć w najlepszym przypadku względnie wysoki poziom tej i owej szkoły. Będą to jednak oddzielne kapliczki, służące różnym kultom, ale nie tworzące jednej całości. Tymczasem wszystkie szkoły wyższe razem wzięte muszą dziś stanowić całość, odpowiadającą jednemu planowi. A całość owa zależy nie tylko od typów szkół i rodzajów katedr, lecz przynajmniej w takim samym stopniu od ich personalnej obsady. Dotychczasowy system nie daje tedy możności planowego przysposobienia sił naukowych i planowego ich użytkowania. Nie daje on również gwarancji powoływania na katedry najodpowiedniejszych pracowników naukowych. Raczej przeciwnie: autonomiczność poszczególnych szkół, łatwo wyradzająca się w sekciarską kapliczkowość, predystynuje do katedr z góry pewne osoby, niekoniecznie najodpowiedniejsze.

W tym miejscu warto przypomnieć, że współcześnie poza szkołami wyższymi są jeszcze inne warsztaty pracy naukowej i inni naukowcy, nie będący aktualnie nauczycielami. Wysuwając tedy postulat obsady katedr najlepszymi kandydaturami, należy ich szukać nie tylko w szkołach, lecz również na innych placówkach naukowych. Tymczasem autonomia personalna szkół stwarza zrozumiałą tendencję do zacieśniania się do ludzi „swojego chowu" i odgradzania się od rezerwuaru pracowników naukowych z poza szkół akademickich.

W sumie autonomia personalna poszczególnych szkół akademickich (o takiej tylko bowiem autonomii mówię) wydaje mi się szkodliwym anachronizmem.

9.

Istnieje szeroko rozpowszechniony pogląd, że autonomia szkół akademickich, a zwłaszcza autonomia personalna, jest źrenicą wolności nauki. Poruszając ten temat ubocznie, nie chcę rozszerzać i komplikować dyskusji przez wchodzenie w meritum zagadnienia „wolności" nauki. Chcę tylko zaznaczyć, że jakby tej wolności nie pojmować, nie ma ona wiele wspólnego z kwestią autonomii. Zapewne, inaczej było w przeszłości; nam jednak chodzi o istotną wartość autonomii w dzisiejszej rzeczywistości.

W szczególności wolność i niezależność nauczania przez profesora może być zagwarantowana niezależnie od autonomii. Podobnie, jak niezawisłym w wyrokowaniu jest sędzia, chociaż „autonomia" sądów nie istnieje.

Z tym wiąże się nieusuwalność profesora z katedry. Oczywiście może być ona tylko względna. Jakkolwiek jednak chcielibyśmy ową względność rozciągnąć — można to uczynić bez żadnego związku z autonomią.

Są jednak inne kwestie, co najmniej równie ważne, wchodzące w obręb problemu „wolności" nauki. Przede wszystkim wolność nauczania zależy od istnienia odpowiedniej katedry. Tymczasem tworzenie katedr znajduje się całkowicie poza zasięgiem autonomii.

Z drugiej strony wolność nauki wymaga dopuszczenia do katedr przedstawicieli różnych doktryn i kierunków naukowych. Tu autonomia szkoły będzie raczej przeszkodą, aniżeli pomocą. Bo „swój człowiek" rzadko będzie heretykiem w stosunku do nauk swego mistrza, który go wyzwolił, a nowatorowi trudno będzie przedstać się przez ucho igielne autonomii.

10.

Podsumujmy.

W zakresie organizacji nauki w szkołach wyższych autonomia nie ma i nie może mieć istotnego znaczenia.

W zakresie materialnego zaspokojenia potrzeb szkoły autonomia jest fikcją albo dekoracją.

W zakresie bieżącej administracji szkolnej autonomia absorbuje naukowców sprawami, którymi ze znacznie większym powodzeniem i pożytkiem dla szkoły zawiadywać powinni fachowi administratorzy.

W zakresie przysposobiania i formowania kadr nauczycielskich autonomia przeszkadza planowej gospodarce materiałem ludzkim, utrudnia wykorzystywanie odpowiednich ludzi na odpowiednich miejscach, zagradza drogę do katedr umysłom śmielszym, wyłamującym się z ram ortodoksyjnej tradycji i rozrywa naturalny związek nauki uniwersyteckiej z pozaszkolnymi placówkami naukowymi.

Co się tyczy wolności nauki, to jeśli w ogóle istnieje jakikolwiek związek autonomii z ową wolnością, jest on dzisiaj raczej ujemny.

W sumie autonomia szkół akademickich w swym dzisiejszym układzie jest zupełnie nieodpowiednim instrumentem kształtowania spraw nauki i nauczania wyższego. Bo nie tylko nie nadaje się ona do osiągnięcia zasadniczych celów, jak wywyższenie spraw nauki w ogólnej hierarchii potrzeb i włączenie jej, jako doniosłego czynnika twórczego w plan ogólnopaństwowy, ale nawet realizacji tych celów przeszkadza.

Mówię oczywiście o istotnych czynnikach autonomii tak, jak one się dzisiaj ukształtowały. Bo są również pewne wtórne i akcesoryjne zjawiska autonomii, nieszkodliwe same przez się, a nawet pożyteczne. Za takie można uznać pewne tradycyjne formy, jak tytulatura organów szkoły itp. Użytecznym może być nadal pewien wpływ organów szkolnych, złożonych z nauczycieli akademickich, na kształtowanie się stosunków w szkole przez wypowiadanie postulatów i opinii w sprawach organizacji nauki, jak tworzenie katedr, programy itd.; w sprawach zaspokojania potrzeb materialnych szkoły, jak preliminarz budżetowy szkoły; w sprawach personelu nauczycielskiego, jak obsada katedr itd. Wielce użyteczny może być nadzór tych organów nad bieżącą administracją, sprawowaną przez fachowych urzędników, nadzór, który miałby zapobiec temu, aby administracja nie stawała się sztuką dla sztuki, lecz by jak najlepiej służyła potrzebom nauki. Wszystko to jednak razem wzięte nie tworzy dostatecznej treści do wypełnienia pojęcia autonomii szkoły. Natomiast te elementy, które treść tę dzisiaj uzasadniają, są szkodliwe i utrzymać się, moim zdaniem, nie dadzą.

11.

Przejdźmy teraz do odwrotnej strony medalu. Wygląda ona w skrócie tak: przeciwwagą autonomii szkoły jest dzisiaj rządowy aparat biurokratyczny. Chodzi więc o to, czy te zadania, którym dzisiaj nie może sprostać autonomia szkoły, może należycie wykonać ów aparat urzędniczy?

Powiadam: tak się rzecz przedstawia w skrócie. Ale skrót ten odpowiada na ogół rzeczywistości. Poszczególne decyzje w sprawach szkół wyższych należą np. do ciał ustawodawczych, do Prezydenta Rzeczypospolitej, do Ministra Oświaty: w rzeczywistości na ich treść wywiera decydujący wpływ zespół urzędników, opracowujący projekty i wnioski. Jeżeli tak się ma rzecz w pewnym stopniu nawet w sprawach najważniejszych, to tym bardziej tak być musi w tych licznych sprawach bieżących, pozornie drobnych, praktycznie jednak bardzo istotnych, bo kształtujących rzeczywiste stosunki w szkolnictwie wyższym.

Nie może być mowy o uszczuplaniu formalnych kompetencji ciał ustawodawczych, Prezydenta, Ministra. Nie może być również mowy o tym, ażeby uczynić zbędnym aparat urzędniczy Ministerstwa (mniejsza w tej chwili o to, czy to będzie, jak dotychczas Ministerstwo Oświaty, czy osobne Ministerstwo Szkół Wyższych, czy też Ministerstwo Nauki w ogóle); byłoby to bowiem wręcz niemożliwe, jako że współczesna administracja nigdzie obejść się nie może bez urzędników zawodowych. Istota problemu polega na tym, czy aparat urzędniczy sprosta należycie tym wszystkim zadaniom, na które dziś wywiera wpływ przy istnieniu autonomii poszczególnych szkół łącznie z tymi wszystkimi zadaniami, które dziś obsługuje autonomia szkół akademickich.

Oddając sprawiedliwość wszystkim czynnikom, które muszą współdziałać w zawiadywaniu sprawami nauki i szkół wyższych, w tej liczbie także aparatowi właściwego ministerstwa, odpowiadam jednak nega-

tywnie na postawione pytanie. I stawiam od razu tezę, że należy powołać do życia centralną instytucję, złożoną z przedstawicieli nauki szkolnej i pozaszkolnej, wyposażoną w odpowiednie kompetencje, które by jej umożliwiły wywieranie decydującego wpływu na kształtowanie się w Polsce całości zagadnienia nauki i szkół wyższych. Instytucja tà (powiedzmy Akademia Nauk), zaabsorbowały dotychczasową autonomię szkół akademickich w jej punktach istotnych oraz ten wpływ na sprawy nauki i nauczania wyższego, który dzisiaj z braku takiej instytucji, wywiera faktycznie aparat ministerstwa.

I tak w zakresie organizacji nauki i nauczania wyższego decyzje właściwych czynników zapadałyby na podstawie wniosków tej instytucji. Dotyczyłoby to zarówno sieci szkół wyższych, jak i nadawania poszczególnym szkołom właściwego charakteru, a także kreowania, znoszenia i przekształcania katedr oraz ustalania programów studiów. Podobne kompetencje służyły jej co do pozaszkolnych placówek badawczych, jako że objęcie jednym planem nauki szkolnej i pozaszkolnej wydaje się dzisiaj nieodzowne.

Instytucja, o której mowa, jednocząc w swoim zakresie działania całość spraw nauk, byłaby powołana do projektowania budżetu i planu inwestycyjnego całości nauki i wszystkich jej placówek. Taka koncentracja w organie jak najbardziej kompetentnym rzeczowo zastąpiłaby dzisiejsze rozprószone i chaotyczne wysiłki i stworzyłaby szanse znacznie większej skuteczności.

Wreszcie — co dzisiaj jest rzeczą bodaj najpilniejszą — instytucja ta (wewnętrznie zróżnicowana według specjalności naukowych) scentralizowałaby kompetencje w sprawach kadr pracowników naukowych, obecnie rozprószone po poszczególnych szkołach i bodaj jeszcze bardziej po pozaszkolnych placówkach naukowych. Dotyczyłoby to między innymi habilitacji i obsady katedr.

W szczegóły organizacyjne nie wchodzę, uważając, że przede wszystkim zasadnicza idea wymaga przedyskutowania. Pomijam również kwestię konstrukcji prawnej, która winna być dostosowana do celów, jakie się chce osiągnąć. W każdym razie operując do końca nieścisłym mianem „autonomii" w sensie funkcjonalnym, a nie strukturalnym, wypowiadam myśl, że dotychczasowa „autonomia" poszczególnych szkół akademickich powinna być zastąpiona „autonomią" nauki, jako całości. Na miejsce rozproszonych i często sekciarskich kapliczek, należy zbudować wielki kościół, służący nauce.

Maurycy Jaroszyński

K. W. ZAWODZIŃSKI

CZY I DLACZEGO RODZINA POŁANIECKICH JEST MARTWĄ POZYCJĄ W DOROBKU SIENKIEWICZA

Oto pytanie, które nie dawało mi spokoju po przeczytaniu jubileuszowego artykułu Konrada Górskiego o Sienkiewiczu w „Tyg. Powsz." Przy ogólno - admiratywnym jego tonie uderzało wprawdzie już nieco, zwłaszcza na łamach pisma katolickiego, twarde słowo o **Quo vadis**; ale słowo to zostało choć zwięźle, dość jednak jasno uzasadnione, nie powinno zresztą nikogo dziwić, kto ma choćby pobieżne wyobrażenie o postawie dzisiejszego świadomego katolika i o przepaści, która dzieli neokatolicyzm od tradycjonalnej postaci katolicyzmu polskiego. Wprawdzie w porównaniu z „prywatnym" katolicyzmem takiego Kraszewskiego, katolicyzm Sienkiewicza był już nieco „zaktywizowany", a pontyfikat Leona XIII zaznaczał już dostosowanie Watykanu do „nowej rzeczywistości", politycznej i społecznej, przemiany jednak nie sięgnęły w rdzeń filozoficzny katolicyzmu, bliższego w owej epoce katechizmowi dla dzieci, ***Złotemu Ołtarzykowi* i *Żywotom świętych Skargi***, niż światopoglądowi *Maritaina* i tych katolików, którzy *z pogardą* patrzą na katolicyzm XIX *wieku* *). Bądź co bądź, wyrok na **Quo vadis** posiada uzasadnienie, którego brak zlekceważeniu obu wielkich powieści współczesnych tegoż autora. Co do **Bez dogmatu** odczytawszy to dzieło już kiedyś jako dojrzały człowiek i krytyk, bez trudu zgodziłem się z prof. Górskim, ale ze wspomnień dziecinnej lektury **Połanieckich** nic mi już nie zostało, miałem zaś powody jak zobaczymy, pewnego na tym punkcie niepokoju. Zapytany osobiście, prof. Górski dał mi ustne wyjaśnienie, świetne, jako koncyzja dowcipu, i nie pozbawione, jak się później przekonałem, słuszności: „byłoby to arcydzieło, gdyby Sienkiewicz stanął na stanowisku ironicznem względem przedstawionego w nim światka, gdyby zrobił to co Weyssenhoff (też podobno dopiero poddając się cudzej „suggestii", wbrew pierwotnej koncepcji) względem Podfilipskiego. Ale Sienkiewicz wziął na serio swoich bohaterów i morał wynikający z ich historii..."

*) Z punktu widzenia wolnomyśliciela, nie mogą (nawiasem powiedziawszy) metamorfozy te nie wzbudzić sceptycznych refleksyj nad niewzruszalnością „opoki piotrowej" i jej niezmienną wiecznością.

Ukazało się ostatnio II wydanie powieści Stanisława Dygata „Jezioro Bodeńskie". Zasłużone powodzenie tej powieści zostało potwierdzone ostatnio przez szereg podjętych lub już opublikowanych przekładów na języki obce. I tak po francusku ukazało się już nakładem firmy „Les Editions de la Sixaine" w Brukseli w przygotowaniu jest przekład na język flamandzki, duński, rozpoczęła również pertraktacje amerykańska firma wydawnicza.

Przeciw tym, niedołężnie tu z pamięci powtórzonym słowom, budziły się w mym umyśle zastrzeżenia. Nietylko Sienkiewicz wziął **Połanieckich** na serio. Krytyk tej miary, jakim chwilami bywał Tarnowski, poświęca wiele stronic **) streszczeniu powieści i ukazaniu jej myśli przewodniej, którą jest według niego nauka: „kłamstwem świat przejdziesz, ale nie wrócisz". Można wątpić czy tego rodzaju sentencja ze wzorków kaligraficznych zasługiwała na rozprowadzenie i uzasadnienie w wielkich trzech tomach. Lecz ostatecznie arcydzieło pozostaje arcydziełem, choć jego sens rozumiemy inaczej, a czasem wprost przeciwnie niż sam autor i ogół jego współczesników — **Don Kiszot** pozostaje tu nieśmiertelnym przykładem. **Rodzina Połanieckich** była przedmiotem licznych i różnorodnych ataków właśnie ze względu na moralność jej bohaterów, otoczonych sympatią twórcy, oraz ze względu na morały wypowiadane bądź bezpośrednio przez autora, bądź przez usta powołanych do tego przez niego postaci; nie atakowano jej jako dzieła sztuki. Nawet niezbyt mu przychylny Chmielowski, krótkie swoje uwagi o tej powieści w historii literatury polskiej streszcza w zdaniu: „W powieściach spółczesnych nieporównane kreślił obrazy ze stosunków... ziemiańskich i mieszczańskich („Rodzina Połanieckich"...). Trzeci wreszcie z najwybitniejszych krytyków epoki, Włodzimierz Spasowicz, pisze o tej powieści entuzjastyczne studium, którego punktem wyjścia jest jej obrona przeciw zarzutom krytyki społecznej, mianowicie Chmielowskiego, a zajęte stanowisko jest właśnie chełpliwie nieco podkreślonem „stanowiskiem estetycznem", przynajmniej w jego intencji; rozważania nad tą sprawą zaczynają się od słów: „Nasza krytyka teraźniejsza boi się jak ognia, ażeby jej nie posądzono o heretycki dogmat: sztuka dla sztuki". W końcu swojego studium Spasowicz, najlepszy znawca Rosji i literatury rosyjskiej u nas, wzmiankuje o stanowisku krytyki rosyjskiej, „która ogromnie interesowała się romansem", wypowiadając „rzecz niezaprzeczenie prawdziwą, że z tej książki można powziąć najlepsze i najdokładniejsze wyobrażenia o tem, czem są rodzina i towarzystwo polskie w obecnej chwili".

Niezależnie od słuszności tego zdania Spasowicza i krytyki rosyjskiej (który i która, jeśli się nie mylili, to dlaczego i w jakiej mierze, może zobaczymy w końcu tych uwag!) walory artystyczne powieści zostały dość wysoko ocenione na rynku międzynarodowym. Zwłaszcza wreszcie odezwanie się o niej z pochwałą wielkiego Tołstoja, który bywał trafnym sędzią w sprawach literatury i sztuki, nawet odległych od dziedziny jego własnej twórczości (uznanie dla poezji Tiuczewa!) obowiązywało przy jubileuszowej okazji do przeczytania **Połanieckich**. Zaniedbałem tego obowiązku, podejmując niedawno rewizję wartości artystycznych i społecznych całej trójcy powieściopisarzy; dokonałem go ze spóźnieniem i śpieszę uzupełnić wrażeniami z lektury swoje tamte uwagi o Sienkiewiczu.

I.

Lektura **Połanieckich** nie zawodzi, jako „przyjemne poczytanie". Porywa zwłaszcza z początku, a to zasługuje na podkreślenie jako przykład tego wydoskonalenia technicznego powieści polskiej, której Sienkiewicz był głównym sprawcą: umiejętności wprowadzenia czytelnika **in medias res** bez nadużywania jego cierpliwości wstępnemi opisami, kreśleniem sytuacji ogólnej, poprzedzającej początek „czasu powieściowego", tego „wytrącenia z normy", które będzie istotą sprawy, rozwijającej się w utworze. Można sądzić, że to **novum** artyzmu Sienkiewicza jest sekretem jego popularności i zadecydowało o zepchnięciu w cień „wielkiego bajarza" Kraszewskiego, osądzonego odtąd jako „stary nudziarz". Słowem, początek jest doskonały. Podziwienia godna technika ekspozycji; swobodny tok narracji, rozwijającej fabułę skomplikowaną i urozmaiconą mimo, że jej rdzeń pozostaje tradycyjnym, umiłowanym przez Sienkiewicza szablonem, przynajmniej w pierwszej połowie: jak on i ona po drodze najeżonej niepokonalnymi przeszkodami, doszli do ślubu. Ale w tem, że na tem się nie kończy, że mamy dalszy ciąg, pożycie małżeńskie bohaterów, tkwi nowatorska skłonność do realizmu, śmiały zamiar rewolucji, zarówno w zakresie formy jak i w zakresie „psychologizmu" powieściowego; specjalnie zapowiada to przeniesienie centrum ciężkości w przedstawieniu tych uczuć, które nawet nazwę wzięły od swego wyłącznego panowania w romansach. „Miłość płciowa", jakby w tem miejscu nie omieszkał szorstkim słowem sprecyzować asceta z Jasnej Polany, wyidealizowana i wysublimowana przekazywanemi przez wieki konwencjami literatury pięknej, tu zjawia się z powrotem wplątana między interesy materialne, od narodzin, uziemiona. Podstawowym instynktom człowieka przywrócono ich realną hierarchię (którą, obnażoną w tragicznych, ostatecznych sytuacjach, mogliśmy obserwować w momentach obnażającej wszystko katastrofy wojennej): naprzód instynkt samozachowawczy, potem dopiero instynkt gatunku, naprzód zdobyć kawałek chleba, zjeść, potem dopiero kochać.

Nie jest to zresztą jedyny też rys realizmu powieściowego. Kilka postaci na wstępie wyprowadzonych, są już odrazu „dobrze postawione", ożywione postaci, zdolne do działania i samoistnego życia w naszych oczach, charaktery, jak się z dalszego ciągu okazuje „wytrzymane". Główny, otoczony sympatią autora bohater nie jest tylko workiem na jego refleksje i wspomnienia (rzecz godna podkreślenia, bo wogóle rzadka w belletrystyce, nietylko naszej); heroina, pozbawiona ostrych konturów, ale niepozbawiona wdzięku w swej pewnej bierności, reprezentacyjna z nią dla „das ewig Weibliche", pożądanej dla każdego „stuprocentowego mężczyzny" towarzyszki życia; wreszcie doskonały papa Pławicki, sportretowany „en pieds" na tych pierwszych dwudziestu czy czterdziestu stronicach.

Dekoracja, na której tle są oni ukazani, odmalowana z wielką prawdą, połączoną z estetycznem odczuciem i wewnętrzną afirmacją świata (iście po tołstojowsku!), z wystarczającą gęstością rysów sztafażu, mimo, że autor nie wpada w opisowość, asystując przeważnie przeżyciom wewnętrznym bohatera i jego kontaktom z innymi wyprowadzonymi postaciami. Uroda życia wsi, ukazanej z punktu widzenia pańskiego dworu, w dostępniejszym zresztą dla „letnika" zakresie (do tego jeszcze wrócimy), ale zaraz na wstępie pod kątem sytuacyjnym dość uniezwyklającym malowidło (przyjęcie przyjeżdżającego z nocnego pociągu gościa), atmosfera bytowania w sferze, społecznie Tołstojowi i często przez niego malowanym środowiskom bliska, pozwalają, obok powyżej przytoczonych względów, zrozumieć sympatyczny jego odzew. Dalej jest dużo gorzej, ale początek zapowiada arcydzieło, i jeśli Tołstoj poprzestał na tych 40 stronicach, (co zdarzyć się mogło, w każdym razie pochwała była o ile pamiętam wygłoszona w trakcie czytania: „czytam właśnie Rodzinę Połanieckich"...) sąd jego zrozumiały i uzasadniony; a i dalej czytając spotkałby (czy spotkał) ustępy, któreby mu się bardzo podobały. Historia zdrady małżeńskiej bohatera jest ukazana w całej prawdzie, bardzo prostego zresztą mechanizmu psychicznego, działającego w stosownej koniunkturze przychylnych okoliczności; tylko nieco obłudnie jest ukazana jego poprawa, jako rezultat skruchy: należało wyraźniej powiedzieć, że mu nie zasmakowała Maszkowa! Jest to niewątpliwie pierwszy w literaturze przykład analizy realistycznej, zastosowanej na drażliwym z punktu widzenia ówczesnych konwenansów odcinku psychologii życia erotycznego, a i u cudzoziemskich poprzedników Sienkiewicza nie przypominam sobie ażeby taki właśnie **casus**, konflikt obowiązku etycznego ze ślepą żądzą, był równie sumiennie podjęty, zbadany i wyraziście przedstawiony.

Pozatem przychylność Tołstoja mógł wzbudzić wybór tematu: intymna treść psychiczna pożycia małżeńskiego interesowała autora Anny Kareninej i Sonaty kreutzerowskiej, jako pisarza i osobiście jako człowieka, dla obu była najważniejszą sprawą drugiej połowy życia. Nie znajdując i nie mając nadziei znalezienia aprobaty swego skrajnego, negatywnego rozwiązania, rad przynajmniej spotykał, rzadszą we współczesnej literaturze Zachodu, obronę monogamii i potępienie naruszających jej surową czystość kaprysów serca i „moralności światowej". Aspekt społeczny Sienkiewicza - moralisty nie wchodził w pole widzenia nie orientującego się w stosunkach życia wewnętrznego Polski Rosjanina; tak więc, nawet tak atakowana u nas „ideologia" Połanieckich, mogła zwiększyć sympatię Tołstoja dla tej powieści.

II.

Ale my, obowiązani do bardziej rozważnego, niż przygodny cudzoziemski czytelnik, wyrokowania o całości dzieła, nie możemy przemilczeć jego stron słabych artystycznie i myślowo. W miarę rozwoju powieści wzrasta ogromnie liczba działających osób. Są to figurki scharakteryzowane po sienkiewiczowsku, w porę, zwięźle i dość plastycznie, aby je łatwo zapamiętać, pomimo mnogości i odróżnić w tłoku; z wyjątkiem jednak Maszki, są tylko płaskie dwuwymiarowe sylwetki, wcielenia pewnych wad, zalet, światopoglądów, działające, a częściej tylko przemawiające zawsze jednakowo pod działaniem najbardziej uproszczonego mechanizmu, przewidującego dla każdej szczupły repertuar ruchów, gestów i sentencji. Doskonale od początku „postawione" charaktery okazują się statyczne: papa Pławicki, potomek Zagłoby, mniej szczęśliwy w swych fortelach niż jego wielki protoplasta, ukazany jest w całości na owych świetnych pierwszych czterdziestu stronicach, a potem już go znamy za dobrze, „mozolit głaza" (robi odciski na oczach), jakby powiedział po zastanowieniu się w języku macierzystym sam Tołstoj. Doskonała początkowo kompozycja rozluźnia się; powieść staje się, gdzieś w połowie, „roman fleuve"; przyczem jej odnogi tem bardziej są zbędne, im mniej autor potrafił zainteresować nas do bohaterów tych, na marginesie, lecz często bardzo obszernie (dzieje miłości Zawiłowskiego) opowiedzianych historii, zwłaszcza, że je poznajemy przeważnie z suchej i dalekiej relacji, nie zaglądając do duszy osób działających, czasem przez zaniedbanie autora, a czasem intencjonalnie (piękny Kopowski) duszy pozbawionych. Technika affabulacji, przy całej doskonałej prostocie nieposzlakowanego języka, zaczyna nas nużyć, gdy przechodzi w suchy schematyzm i sentencjonalizm.

Pierwszy wyraża się w rozrzedzeniu realiów tła. Brak opisowości, którą podkreśliliśmy jako zaletę w pierwszych rozdziałach utworu, zastępowany jednak tu i owdzie orientującymi w sztafażu zwięzłymi napomknieniami, dalej staje się istotnym jego brakiem. Bohaterowie dużo podróżu-

*) Trzeci okres w zawodzie Sienkiewicza Tyg. III. z r. 1897 Nr. 8 — 33.

ją: nigdy nie wiemy jak się to odbywa *), jak wyglądają hotele w których stają. Letniego mieszkania Połanieckich nie możemy zidentyfikować z żadną podwarszawską miejscowością; nie mamy żadnych wyobrażeń plastycznych o ich pierwszej siedzibie wiejskiej. Nie wiemy jak wyglądają mieszkania bohaterów, jakie w nich sprzęty (z wyjątkiem najkonieczniejszych dla charakterystyki lub dla akcji — portrety „przodków" u Maszki, kozetka skręcona w kształcie ósemki u niegoż na letnim mieszkaniu, miejsce podpatrzonych przez Połanieckiego pieszczot małżeńskich); nie wiemy co jedzą, bardzo rzadko jak są ubrani. Z ich spraw zarobkowych znamy jedną spekulację Połanieckiego, jeden proces, który prowadzi Maszko i przegrywa, nie mówię ma się rozumieć o sprawie Krzemienia, która od zażądania zwrotu ciążącej na jego hipotece sumy Połanieckiego, aż po jego odkupienie przez bohatera dla żony, stanowi właściwie trzon fabularny powieści i bodaj jedyna zapewnia jej „jedność akcji". Bardzo to niejasna z punktu widzenia finansowego sprawa, jak również dlaczego Maszko w niej również przegrywa i musi wypuścić z rąk taką magnacką prawie fortunę, którą już złapał; w każdym razie, na przykładzie tych dwóch prowadzonych przez niego spraw, nie potrafimy nabrać przekonania do obrotności życiowej tego arrywisty, ani pojęć w jaki sposób doszedł on do pozycji społecznej, która pozwala mu konkurować o rękę córki 250 włókowego ziemianina. Wspomniana za to spekulacja sympatycznego Stacha Połanieckiego jest bądź co bądź, jasna, tak jak jasna byłaby ona dla prokuratora, który już w następnej generacji w każdym nawet typowo kapitalistycznym ustroju niewątpliwie by się nią zajął, jako klasycznym przykładem „paskarstwa", spekulacji obliczonej — powiedziano to w powieści en toutes lettres — na klęskę nadciągającego głodu. W każdym razie, ta spekulacja ma przynajmniej zaletę wyrazistego, wraz z kilku innymi jego gestami życiowymi, charakteryzowania bezwzględności w interesach otoczonego sympatią autorską bohatera, który się też tym chełpi. O nim wiemy, że nie zginie, nietylko dzięki praktykom religijnym wyznania w którym się urodził i które nie jedynie w ramach tradycji, ale i rozumowo ze wszystkimi konsekwencjami affirmował.

III.

Ale nie wtrącajmy się do przekonań i do moralności Połanieckiego; dość już i tak wycierpiał on za to. A trzeba przyznać, że choć zdobył fortunę i odkupił Krzemień, gdzie pewnie spędzał wczasy letnie w szczęśliwej atmosferze rodzinnej, opinii nie przekupił, przynajmniej opinii czytającej publiczności. Na kim, jak na kim, ale na nim nie sprawdza się znakomita powiastka Rodocia o Kalasantym, który „lękał się opinii" i zamierzał uciec do Ameryki, ale pocieszony zapewnieniem, że „i u nas są ludzie", został, a „pojechała tam opinia". W wypadku Połanieckiego, opinia została, co jest wyjątkiem przemawiającym na jej korzyść. Trzeba jednak powiedzieć, że zadecydowały o tym nietylko względy natury abstrakcyjno-etycznej, raczej co innego. Ale o tym obszerniej na końcu niniejszych uwag. Tymczasem chcę tylko zauważyć, że nie wznawiam procesu zarzutów moralnych, mając na widoku przeważnie ocenę Połanieckich jako dzieła sztuki w ramach odpowiedniego gatunku literackiego oraz sprawę warunków czy też braku warunków w tej powieści do aktualizowania się w potoku lat i zdarzeń. Samej jednak sprawy jej filozofji nie uważam za błahą, nawet z punktu widzenia ponadczasowych i artystyczno-literackich wartości ze względu na miejsce jakie ona w powieści zajmuje. Jeśli przypomnimy przytoczone na początku niniejszych uwag zbliżenie z Podfilipskim, w tytule Połanieckich akcent należałoby postawić również na słowie „myśli", a nie na słowie „żywot". W związku z tym ustosunkowaniem elementów treści stoi właściwość formalna powieści: „sentencjonalizm".

Co się bowiem dzieje na kartach książki (pewno w sumie więcej niż tysiąc stronic), czego jesteśmy świadkami? Skonstatowaliśmy powyżej rozrzedzenie realiów, brak opisowości, niezmiernie rzadko nawet ukazaną gestykulację (ludzie dobrze wychowani nie machają rękami przy rozmowie); dzieje się w tej powieści jak w salonie, gdzie mogą się dziać niezmiernie ważne rzeczy, decydujące o życiu i śmierci, choć pozornie nic się nie dzieje. Z rzeczy, które się dzieją w kółku Połanieckich mało „widzimy", raczej je znamy z relacji, słyszymy od autora i od rozmawiających. Bo konkretną sprawą, przed oczy nam przedstawioną, sprawą zresztą najważniejszą jest utrzymywanie stosunków, odwiedzanie znajomych. Wciąż ktoś do kogoś przychodzi, wstępuje, składa wizytę, mając do niego interes lub wprost, żeby pogadać, „na szklankę herbaty". Dla młodych to „bywanie", to życie towarzyskie (nie ma tu zresztą przedstawionych ..zabaw" na większą skalę, „balów"), to jedyne dozwolone ścieżki doboru płciowego, albo, używając wyrażenia zupełnie innego „szeregu" — intryg miłosnych. O czemże ludzie ci „bywając" rozmawiają, a raczej co z tych rozmów notuje Sienkiewicz. Oczywiście o wspólnych znajomych; ten dział rozmów, vulgo „plotkowanie", Sienkiewicz kunsztownie zużywa na posuwanie akcji w szeregu równolegle rozwijających się wątków. Ktoś umiera, żeni się, rozwodzi, pojedynkuje się, bankrutuje, otrzymuje spadek — o wszystkim prawie dowiadujemy się od rozmawiających osób. Oczywiście „flirtuje się" tu, ale już przy tym zajęciu „filozofuje" się dużo, oczywiście na niewyczerpany temat miłości i kobiety; wspomina się przy tym dzieła sztuki dla złożenia godnego hołdu piękności uwielbianych. Poza tym olbrzymią rolę — niepojętą dla dzisiejszego czytelnika, który od trzydziestu kilku lat przywykł koncentrować uwagę na potężnie falującej wielkimi zdarzeniami, ciężarnej decydującymi dla losów świata przewrotami teraźniejszości — gra rozważanie podstawowych zagadnień etyki, filozofii wogóle, jej stosunku do religii etc. Taka istotnie była ówczesna moda, potwierdzi to każdy, kto sięga świadomą pamięcią w tę epokę, moda uzasadniona zupełnie bezdziejowością otaczającej rzeczywistości. Uderza nieobecność bieżącej literatury wśród tematów rozmów, a także teatru. Ten ostatni był pewno oglądany tylko za granicą, jak i z literatury wspominane są tylko głośne — ze względów ideologicznych — zjawiska literatury obcej przeważnie francuskiej. Wszystko to sobie zapamiętamy dla charakterystyki środowiska, jak również i to, że mimo zlokalizowania akcji głównej w Warszawie, tak mało rysów jej życia (w przeciwieństwie do powieści Prusa) przekazano nam w tej powieści, która mogłaby się dziać w każdym innym wielkim mieście Europy.

Ale wracając od tego, czego tu niema, do tego co jest w tych rozmowach, zrozumiemy, że olbrzymia część poruszonych tu spraw zasadniczych nie da się załatwić w salonie ani w przedstawiającej go powieści inaczej, jak krótkimi, przecinającymi kwestię sentencjami. Jest w nich mistrzem Sienkiewicz; aforyzmy jego w rodzaju słynnego „a msza się wciąż odprawia" są nieodparcie zwycięskie w dyskusji salonowej. Bo jakże tu na nie odpowiadać? Długą rozprawą wykazującą płytkość lub błędność tych twierdzeń — byłby to pedantyzm, niedopuszczalny w salonie. Te aforyzmy, bądź poprzydzielane osobom działającym stosownie do ich charakterystyk (niezmiennych, jak wiemy), bądź zjawiające się w refleksjach głównego bohatera z marką aprobaty autora, nadają specjalny charakter powieści. Z jednej strony narażają ją na ataki, jako wykład ideologii Sienkiewicza; z drugiej powiększają jej schematyzm, oddalający ją od typu powieści realistycznej, a wogóle umniejszają jej wartość artystyczną.

Schematyzm psychologiczny, ubóstwo stafażu, sentencje — znamy to wszystko z literatury francuskiej „Wielkiego Wieku". Ale tam się to wszystko zjawia w ramach jednolitego stylu kultury, jako artystyczne wcielenie filozofii kartezjańskiej, w kontekście odmiennego gestu życiowego, pompatycznego ceremoniału dworskiego, surowego patosu rozmyślań religijnych i sporów oraz dociekań duszoznawczych, w rodzajach literackich ukazujących rzeczywistość przefiltrowaną przez sztywne konwencje „reguł", w zakresie zawartości i obostrzeń formy, odsuwających wypowiedź poety jak najdalej od bezpośredniości swobody języka potocznego w regiony specjalnie zwężonej leksyki poetyckiej. Jeśli dla dzisiejszego masowego czytelnika nie przyczynia się to do atrakcyjności Racine'a i jego towarzyszy (jedynie we Francji i to w dość ograniczonym społecznie kręgu trwa, dzięki specjalnemu wychowaniu, tradycja należytej recepcji tej literatury), to w stosunku do Połanieckich nie mogło to sprzyjać ich popularności.

Nie wytrzymując, jako całość, sądu bardziej wymagającej krytyki, nie mogła się ta powieść utrzymać między rezerwami „lekkiej lektury" szerokiego ogółu, który niewątpliwie czuł się prócz tego odstręczony monotonią przebywania w jednym środowisku. Sienkiewicz z tego środowiska nie wychodzi, bodaj na chwilę, nawet, na rzecz jakichś guwernerów, lokai czy nianiek, któremi urozmaicają sztywną nieprzystępność „wyższych sfer towarzyskich" mali i wielcy autorowie powieści na tle ich życia; jedna tylko epizodyczna postać nieszczęśliwego wielbiciela panny Pławickiej, Gątkowskiego, reprezentuje w powieści szeroką i popularną warstwę naszej „poczciwej szlachty wiejskiej". Wielbiciel ten nie ośmiela się nawet wyznać swych uczuć: daje to miarę dystansowi, jaki dzieli jego sferę od jej środowiska.

IV.

Nie jest ono jednak w ściślejszym sensie „arystokracją", sferą utytułowanych potomków możnowładczych rodów, których nazwiska przemawiają do wyobraźni historycznej każdego inteligenta polskiego. Kiedy na chwilę zjawia się w tym środowisku grupka utytułowanych przedstawicieli „złotej młodzieży", to wśród niej specjalnie ironicznie naświetlony jest baron (tylko baron!) Kot, nie zapominający przy prezentacji podkreślać przydomku „z Dębna", jako że w ten sposób związuje swą genealogię z jakimś głośnym w dawniejszej historii polskiej rodem. Nie ważni to więc muszą być hrabiowie; i choć w intencji Sienkiewicza nazwisko jego bohatera ma mówić „samo za siebie", a znajdujący się w polu widzenia czytelnika Płoszowski (spadek łączny po nim i po jego ciotce coś około półtora miliona rubli złotych) i stary Zawiłowski (majątki w Królestwie i dobra w „Księstwie", z których mógłby utworzyć majorat) pod względem majątkowym mogliby być niewątpliwie zaliczeni do „panów", stanowiąc jednak w układzie środowiska powieściowego jakby jego górną peryferię — całość tego środowiska nie jest przez autora wystawiona jako sfera wielkopaństwa, arystokracji, *tradycyjnie* przeciwstawianej „szlachcie", w warunkach wiejskich (u Kraszewskiego), reszcie społeczeństwa już zurbanizowanego (w „Lalce" Prusa).

A przecież papa Pławicki jest właścicielem 250 włók (przeszło 4.200 ha, w dziś przyjętym systemie miar), ocenianych przezeń po 3.000 rubli, w sumie na 750 tys. Cena choć już spotykana często koło roku 1890, wydaje się być przedstawiona jako nierealna dla Krzemienia; mimo wszystko jest to stanowczo fortuna raczej „pańska", niż szlachecka *). Jeśli ją Pławicki traci, to wskutek lekkomyślnej i fantastycznej gospodarki i niezbyt jasnego dla czytelnika zaplątania interesów, może jednak nie bez udziału odbijającej się w nim ogólno społecznej dyspozycji psychicznej do urbanizacji, pod której wpływem woli pozycję rentiera w mieście niż ziemianina. Wchodzi do już istniejącego środowiska rentierów; najuboższy z nich poeta Zawiłowski, ma przecież kilkanaście tysięcy rubli, z których dochód obraca na utrzymanie chorego ojca, zanim nie otrzyma na ten cel od bogatego kuzyna 30 tysięcy. Przypomnijmy, że mowa tu o rublach złotych, przed zmianą parytetu przez Wittego, równych czterem złotym frankom; dla porównania dorzucę, że podług aktualnej jeszcze i długo potem ustawy rosyjskiego domu cesarskiego, księżniczka krwi (prawnuczka cesarza) otrzymywała posag pieniężny w wysokości 30 tysięcy rubli. Słowem jest to sfera rentierów tak zamożnych (lub udających zamożność, albo polujących na spadki i posagi), że coroczny wyjazd do modnych akurat miejscowości kuracyjnych i turystycznych wchodzi do ich budżetu; jeśli trzeba oszczędzić, robi się to w kraju, w którym się zresztą przebywa karnawał, kwestę wielkanocną, wyścigi. Oprócz rentierów wchodzi do tej sfery, stanowiąc jej mniejszość, nieco spekulantów. Charakterystyczną jest nieobecność „wolnych zawodów": niema tu ani jednego lekarza, choć dochody nie jednego już w tej epoce wystarczyłyby na równą stopę życiową; tym bardziej w tej pozycji są inżynierowie, tak bardzo wzięty w owym okresie zawód; a przecież Połaniecki, z wykształcenia pono inżynier chemik, figuruje tu jako wspólnik „domu handlowego", nieuprawiający swego zawodu; tak samo adwokat Maszko zjawia się przed nami jako zaplątany w różne niezbyt szczęśliwe interesy spekulant.

Zanotujmy jeszcze kilka rysów tego środowiska: choć większość jest z pochodzenia szlachecką, rodowód jest raczej pożądany (pretensje Maszki) niż konieczny: plebejusz Bigiel figuruje na równej stopie, odznaczony sympatią autora. Jest to warstwa młoda, ekonomicznie związana z dość późną fazą gospodarki kapitalistycznej, z utrwaloną dostatecznie długim doświadczeniem pewnością pieniądza i dopiero na tej pewności opartem zapewnieniem egzystencji przez renty lub przez obrót pieniężny. Pieniądz nie zna ojczyzny i warstwa ta jest kosmopolityczna w sposobie życia, w obojętności na sprawy kulturalne i polityczne narodu. Podkreśliliśmy powyżej brak jakichś ech życia artystyczno - literackiego Polski ówczesnej; nie znajdziemy i przemycanych tak często w dziełach Orzeszkowej i Prusa poprzez zakazy cenzury wspomnień powstania. Młoda ta warstwa jakby nie nawiązała jeszcze do tradycji narodowej; wolna jest od tradycji i na innym jeszcze punkcie, w czem jej moralna niższość nawet w porównaniu z arystokracją rodową. Ta ostatnia, pomimo kosmopolityzmu obyczajowego, świadoma jest w pewnej mierze swych obowiązków względem tradycji rodowej, która nakazuje przynajmniej podtrzymywać zabytkowe pałace i „reprezentować" swoiście Polskę na arenie międzynarodowej, choćby wysokością stawki przy karcianym stoliku. Środowisko Połanieckiego nawet tego obowiązku nie odczuwa, i w osobie Pławickiego chętnie zrzuca z bark feudalny zaszczyt połączony z pewnymi obowiązkami — rezydowania w dziedzicznych dobrach.

Wybiegając poza ramy omawianego utworu i zabiegając w przyszłość można, nie bez korzyści dla wiedzy o literaturze choć raczej w dziedzinie socjologii, naszkicować dalsze dzieje tej grupy społecznej. Nie zniknęła ona z wydaniem Połanieckich ani została zlikwidowana przez ataki krytyki na morał tej powieści. Powiększyła się liczebnie przez prawie całkowitą likwidację na progu XX wieku mniej silnej ekonomicznie warstwy drobnoziemiańskiej szlachty, której część, wychodząc z ziemi, ocaliła przynajmniej tyle, żeby powiększyć szeregi rentierów. Z drugiej strony nabrała znaczenia i wewnętrznej wartości przez kilka zjawisk natury społecznej, głównie w drugim dziesiątku lat bieżącego stulecia.

Pierwsze z nich, to „arystokratyfikacja" (przepadam za słowami na „fikacja", któ-rebym pisał wzorem niemieckim przez dwa „k") pozostałej części ziemiaństwa, które z jednej strony, po likwidacji biedniejszego „obywatelstwa" utrwaliło swą pozycję przez nabycie części jego majątków, z drugiej strony, zlikwidowało odwieczny konflikt między „szlachtą" a „panami", do czego się przyczyniła „demokratyzacja arystokracji", głównie wskutek utraty latyfundiów we wschodniej części ziem dawnej Rzplitej. Zachwianie pozycji ekonomicznej potomstwa możnowładców było przyczyną jego rozkładu wewnętrznego, ujawniającego się odstępstwem od tradycji, z którą sam byt arystokracji traci sens; mezalianse zjawiają się obok bankructw w najpotężniejszych do niedawna rodzinach arystokratycznych. Arystokracja zlewa się z aktualnym ziemiaństwem, wznosząc do jego płytkiego światopoglądowo „realizmu" życiowego, w gorszych wypadkach, cynizmu dorobkiewiczowskiego, swój reprezentowany przez lichsze jednostki dekadencki cynizm, ale też i pewne ambicje polityczno - społeczne.

Równocześnie z wysoką koniunkturą dla rolnictwa, rentierzy przeżywają katastrofę powojenną inflacji i dewaluacji pieniądza. Przerzedza to środowisko Połanieckich, zasila je jednak napływ nowobogackich wojennych, doskonale adaptujących się do egoistycznej moralności i snobizmu środowiska. W tym zakresie porozumienie jest łatwe, z tym, kto oszczędzony przez kule,

*) Miałem niedawno rękopis, pewno z przed lat 20, jakiejś wiekowej i już w swoim czasie anachronicznej, naiwnej powieściopisarki ze szkoły Mniszkówny. Ale przynajmniej zamiłowanie do opisywania: podróż z Warszawy do Mławy (bez żadnych przygód) zajmuje pół tomu; przekazano wiekom, jaka była liberia dorożkarza warszawskiego; w jakiej okazji udzielało się „hojnych datków", a kiedy jałmużny, obrzucając przy tym żebraka „litościwym spojrzeniem".

*)W znanym mi z owej epoki powiecie Lipnowskim ziemi Dobrzyńskiej, typowym wówczas kraju „obywatelstwa ziemskiego" nie było ani jednej takiej fortuny z wyjątkiem Skempego Zielińskich (poety Gustawa), dóbr bardzo wielkich, ale stanowiących obszar lasów (około 800 włók). Zresztą obszar pojedyńczego folwarku rzadko przewyższał 40 włók, wahał się zwykle około 20. Zdarzały się skupienia paru majątków w jednym ręku, ale i one nigdy nie dochodziły do tych rozmiarów.

JUŻ UKAZAŁ SIĘ 101-szy NUMER
DWUTYGODNIKA „TRYBUNA WOLNOŚCI"
W treści:
Józef Kowalczyk — Droga wzwyż. **Stefan Tarnowski** — Rację mamy — my! **J. Druto** — Narodowy plan gospodarczy. **Zenon Kliszko** — O nowej ordynacji wyborczej. **Wł. Sokorski** — Aktualne problemy ruchu zawodowego. **Maria Turlejska** — Zaczątki Polskiej Partii Robotniczej. Fakty i materiały. — Francja walczy o demokrację — Dowody siły — W walce o jednolity front — Rola Kom. Partii Anglii — Uchwały Plenum KC Kom. Partii Francji — Na łamach prasy — Z życia Partii — Wśród książek — Kalendarz wydarzeń.
Cena 8 zł.

a zaopatrzony w rangę wojskową, poszukuje sobie nagrody w życiu doczesnym oraz z karierowiczami politycznymi. Wzamian za udział w dysponowaniu losami państwa udziela obu tym grupom równouprawnienia towarzyskiego nowe, „arystokratyfikowane" ziemiaństwo, a naturalnym pośrednikiem w tym aliażu staje się Połaniecczyzna, stykająca się codzień w mieście z elitą rządzącą, a związana częściowo ze ..wsią" węzłami krwi; tak powstaje nowa „nobilitas", środowisko wielokrotnie malowane w różnym oświetleniu przez Kadena i Nałkowską. Moralnie i obyczajowo ma ono wiele wspólnego z Połaniecczyzną, ale do tej genealogii nie przyznaje się, spragnione bardziej zaszczytnego mitu o swym pochodzeniu. Powieść o Połanieckich z przed lat czterdziestu pozostaje nadal bez zaplecza społecznego i popularności nie odzyskuje.

V.

Trzeba bowiem stwierdzić, niezależnie od jakiegokolwiek określonego szerszego socjologicznego poglądu na literaturę, ten prosty fakt, że powieść „współczesna" musi posiadać, dla zdobycia popularności, pewne tematyczne warunki zainteresowania „szerokiego ogółu". Można by to nazwać jej bazą społeczną, która musi być albo bardzo obszerna (lud wiejski, życie miasta w jego różnych uwarstwieniach, jak np. w „Lalce"), albo choć szczupła liczebnie ale zato bardzo ważna: król i jego otoczenie lub jakaś inna elita rządząca; u nas w czasach porozbiorowych — magnateria, w której ręku olbrzymia część majątku narodowego i reprezentacja narodu nazewnątrz dostępem do sfer de facto rządzących, i na wewnątrz nazwiskiem, splecionym z przeszłością narodu; wreszcie elita umysłowa, wytwórcy dóbr kulturalnych dla całego narodu, poeci, artyści; albo też musi odpowiadać samemu kręgowi czytających: inteligencja pracująca, dawniej przed urbanizacją społeczeństwa — szerokie koła szlachty wiejskiej, ulubionego środowiska naszej powieści obyczajowej połowy XIX wieku.

Baza społeczna **Połanieckich** jest zbyt szczupła. Środowisko kosmopolitycznych snobów, obce tradycji narodowej, obce życiu społecznemu i kulturalnemu narodu (przypominam podkreślone poprzednio charakterystyczne przemilczenia), nie mogło zainteresować szerszego ogółu. Szczupłość wyobrażonego środowiska, brak realiów ówczesnego życia, nawet dla nas, z odległości półwiecza, nie tworzy z tej powieści interesującego obrazu obyczajowego. Jako dzieło sztuki powieściowej, degradują ją liczne powyżej wskazane braki, pomimo ustępów, które powinny być ocalone od zapomnienia w obszerniejszych antologiach prozy polskiej; płytkość filozofji i charakterologii nie dadzą jej zaliczyć do rzędu dzieł ujmujących abstrakcyjnie ale też i ponadczasowo zagadnienia myśli i namiętności człowieka. Sąd Konrada Górskiego w obszerniejszych tych rozważaniach zdaje się uzyskiwać potwierdzenie.

Z drugiej strony, próba socjologicznej interpretacji Połanieckich dorzuca trochę światła do społecznej i twórczej sylwetki Sienkiewicza, której parę rysów sprzecznych z tradycyjnymi jej ujęciami wyznaczyłem niedawno gdzieindziej. („Odrodzenie Nr. 33). Obie wielkie „powieści współczesne" ukazują jego bliskość społeczną odmalowanej tam warstwie, a zarazem niestosowność zaliczenia go do linii pisarzy „szlacheckich", czy to jako malarza życia wiejskiego, z jego codziennymi zainteresowaniami i upodobaniami *), czy to jako piewcy schyłkowej epoki wielkiego stanu braci szlachty, i tej jej „polskiej biedy", której tak wiele np. u Prusa. Jest on raczej, jak tam powiedziałem, przykładem „bezbolesnego przekształcania się potomków szlachty w burżuazję polska"; przykładem urbanizacji duchowej Polski; letnikiem, mającym styczność ze wsią okazyjnie, w czasie wakacyj.

Jako pisarz, okazuje on w tych powieściach mierną „miąższość" swego realizmu powieściowego, wystarczającego dla tym większej sugestii zagrażających niebezpieczeństw, na potrzeby uprawdopodobnienia akcji powieści „awanturniczej", historycznej czy egzotycznej i w ten sposób stworzenia powieści „przykuwającej", nie dosyć jednak dla tytułu „realisty" w całym znaczeniu słowa. Nie uzasadnia też ta część jego dzieła poglądu na rozkwit powieści realistycznej w Polsce w ostatnich dziesięcioleciach ubiegłego stulecia.

K. W. Zawodziński

MYŚL WSPÓŁCZESNA

Spis treści *tomu pierwszego* (zeszyt 1—5)

Dr Józef Chałasiński, prof. UŁ — Socjologiczne założenia reformy wychowania, **Dr Tadeusz Kotarbiński,** prof. UW — Zasady dobrej roboty, **Borys Łapicki,** prof. UŁ — Demokracja i jej wartość etyczna, **Dr Zygmunt Szymanowski, prof. UŁ** — Zagadka życia i odrodzenie samorództwa, **Dr Jerzy Konarski,** prof. UŁ — W dziesiątą rocznicę śmierci I. P. Pawłowa. **Dr Stanisław Śreniowski,** prof. UŁ — Z dziejów parlamentaryzmu. **Dr Stanisław Ossowski, prof. UŁ** — Analiza socjologiczna pojęcia ojczyzny, **Julian Brun-Bronowicz** — Z dziejów współczesnej idei narodowej, **Dr Stanisław Rappaport,** prof. UŁ — Polska jako państwo jednonarodowe, **Dr Arnost Kolman,** prof. Uniw. w Pradze — Nowe fakty z historii nieeuklidesowej geometrii, **Inż. Jan Szlaza** — Determinizm i indeterminizm w świetle poglądów Plancka, **Dr Czesław Znamierowski,** prof. UŁ — Analiza oceny moralnej, **Dr Adam Schaff,** prof. UŁ — Zasada sprzeczności w świetle logiki dialektycznej, **Dr Roman Markuszewicz,** doc. UMCS — Ideały wychowawcze w przeszłości a w rzeczywistości współczesnej, **Dr Wojciech Jastrzębowski,** prof. UŁ — Kolonizacja niemiecka w Polsce a demografia, **Mgr Stanisław Rouppert,** adj. Polit. Łódzkiej — Sztuczna promieniotwórczość i jej zastosowania, **Leon Schiller** — Najpilniejsze zadania teatru polskiego.

Kronika francuska. Manifest Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego, Przemówienie Pawła Langevin, Przemówienie Henryka Wallon, Przemówienie Jerzego Teissier.

Kronika ekonomiczna. W. Karra — Problem węgla w powojennej Europie.

Kronika przyrodnicza. Dr Jerzy Barski — Syntetyczna penicillina, Nowe substancje antybiotyczne. Między kryształem a żywą istotą, Ogólna odporność ustroju i jej stymulacja, Promieniowanie żywej materii.

Kronika oświatowa. Dr Natalia Gąsiorowska, prof. UŁ — Wiedza dla wszystkich.

Kronika hiszpańska. Płk. Mieczysław Schleyen — W dziesiątą rocznicę wojny w Hiszpanii.

Kronika radziecka. Mieczysław Wróblewski — Życie kulturalne w Środkowoazjatyckich Republikacth Radzieckich.

Kronika prawnicza. Seweryn Szer, nacz. Min. Sprawiedl. — Instytucja własności według projektu prawa rzeczowego.

Dr Józef Chałasiński, prof. UŁ — Demokracja angielska, **Ignacy Chrzanowski** — „Joachim Lelewel — Człowiek i pisarz", **Dr Jan Szczepański** — Ucieczka przed wolnością. Recenzja książek angielskich o nowych Niemczech, **D. W. Brogan** — The American Problem, London 1944, **Mgr Seweryn Żurawicki** — „Mirowoje choziajstwo i mirowaja politika", Moska 1945, **Jan Guranowski** — „Pensée, revue du rationalisme moderne, arts, sciences, philosophie, Paryż 1945-1946. **Mgr Adam Wendel** — „Państwo i Prawo" — miesięcznik, Łódź 1946. **Dr Adam Schaff,** prof. UŁ — J. Plechanow: Podstawowe zagadnienia marksizmu, **Dr Witold Kula** — Bogusław Leśnodorski: Konstytucja 3 maja jako dokument Oświecenia, Adam Ostrowski: Hugo Kołłataj, ojciec demokracji polskiej, **Dr Marian H. Serejski,** prof. UŁ — N. Assorodobraj: Początki klasy robotniczej, **Dr Henryk Ułaszyn,** prof. UŁ — J. Widajewicz: Słowianie Zachodni, **Dr Florian Pieczyński** — Czesław Znamierowski: Wiadomości elementarne o państwie, **Henryk Wallace** (tłum.) — Nasze zadania na Pacyfiku, **Summer Wells (tłum.)** — Czas powziąć decyzję, **Pertinax** (tłum.) — Grabarze, **Iwo Biraud** (tłum.) — Stan zdrowotny Europy.

R. KOWALEWSKA

O występach Teatru Dziecęcego

pod kierownictwem P. Tamary Szumskiej

Należy przypuszczać, że inicjatorka tej imprezy — p. Szumska, kierowała się jak najlepszą intencją. Brak stałych zawodowych teatrów dziecięcych i głód teatralny wśród dzieci (zakładamy cele wyłącznie artystyczne) nasunął p. Szumskiej pomysł wywędrowania z gromadką dzieci białostockich w roli aktorów na „gościnne występy". Przyjrzyjmy się rezultatom oglądanym w Łodzi.

Program składa się, jak głosi afisz, z inscenizacji, tańca i recytacji. Prawdę mówiąc inscenizacji było bardzo mało, przeważały tańce i to solowe.

Już pierwszy numer programu wykazał w pełni wszystkie niebezpieczeństwa, tkwiące w tego rodzaju imprezie: teatr dziecięcy na gościnnych występach, to znaczy teatr, w którym dziecko jest aktorem typu zawodowego, wyjeżdża jako aktor na gościnne występy (przypuszczalnie tworzy to bardzo poważną lukę w jego nauce szkolnej) gra w wynajętym teatrze, do którego jego rówieśnicy kupują bilety jak do teatru zawodowego, gdzie dziecko-aktor jest ucharakteryzowane „na ładnie", otrzymuje publicznie kwiaty (a wiemy, że to nie są objawy spontanicznego zachwytu; nota bene otrzymały je dzieci najsłabiej grające), kłania się przed kurtyną, dostaje brawa, a najważniejsze — stylem swojej gry stara się naśladować (oczywiście z najgorszymi rezultatami) grę zawodowego aktora. Wobec wykonawców jest to impreza niepedagogiczna.

Przyjrzyjmy się, czym został okupiony ten grzech wobec gromadki bezsprzecznie zdolnych dzieci, to jest, jaką strawę otrzymały spragnione teatru, „swojego" teatru, dzieci łódzkie.

„Serce matki" — jedyna właściwie inscenizacja jest pokazem poglądowym, na jakie błędy narażony jest teatr dziecięcy, gdy nie chce być teatrem samorodnym a stara się naśladować teatry zawodowe, i aktorów, oczywiście od strony zewnętrznej, bo od strony umiejętności wcielania się w postaci i wczucia się w przeżycia niezrozumiałe dla jego wieku, nie można się spodziewać żadnych osiągnięć. Dziesięcioletnia może, przemiła i bardzo zdolna dziewczynka gra matkę (!) uwodzonego przez sławę i bogactwo synka, który ucieka przed trudem, boleśnie raniąc tym serce matki. Dla dodania sobie powagi (przecież ma być matką), stara się wykonać jak najbardziej wyraziście cały szereg pretensjonalno-patetycznych gestów, przybrać t. zw. teatralne pozy z ręką oczywiście na sercu, w tym wypadku na maleńkim, mocno bijącym z emocji serduszku. Nakaz mówienia głośno na scenie, wypełnia z całą gorliwością, toteż nie może być mowy o wydobyciu w tym naprężeniu fizycznym jakichkolwiek odcieni uczuciowych. Wbrew swoim zamierzeniom i intencjom autorki to utalentowane dziecko, które na pewno umiałoby doskonale przedstawić dostępną dla jej psychiki i wieku postać — staje się śmieszne. A przecież to poważny utwór, o czym świadczy nawet tytuł „Serce matki", utwór z założeniem moralnym.

W tejże inscenizacji można było się przekonać, jak nieumiejętne operowanie środkami scenicznymi wypacza sens utworu. Dzieci, grające złe siły, które pokazują bohaterowi niewłaściwą drogę, ubrane w efektowne dla dziecięcego widza kostiumy i ucharakteryzowane „na ładnie", wykonywujące ładne ewolucje taneczne — mogą wywołać w odbiorcy jedynie tylko sympatię i nie pomoże tu moral wypowiedziany na końcu, ponieważ przeczy temu co dziecko-widz zobaczyło. Zwłaszcza, jeżeli uświadomimy sobie, że wiek dziecięcy jest bardziej wrażliwy na stronę estetyczną zjawisk. Jakąż pokusę może stworzyć dla małego bohatera i jakie sympatie wywołać w tak wrażliwym widzu nieciekawie, nikło wyglądający — trud? Symbol pracy może i powinien być pokazany (jeżeli w ogóle należy operować symbolami, mając do czynienia z umysłem dziecka, w którym interpretacja symboliczna następuje dopiero po 12 roku życia) jako potęga, bo on zwycięża, bo w zbiorowym swoim wykładniku takim jest, bo naszą intencją jest wzbudzenie w maleńkim widzu prawdziwego przekonania, że takim on jest. Mój przypadkowy sąsiad 8-letni Andrzej, na pytanie matki odpowiedział z zakłopotaniem, że nie zrozumiał tego numeru, ale dziewczynka w ładnej sukience (właśnie złudna sława) bardzo mu się podobała. Brawo Andrzejku, masz rację, bo tak ci to wyłożyli. Trudno oszukać tego najczulszego widza, jakim jest dziecko. Taki sam zachwyt budzi śpiewający i tańczący marynarz, wzór nieroba i żarłoka, bo milutka dziewczynka, smukła jak lilijka, która z czarującym wdziękiem i powagą wykonuje tę piosenkę, jest znów żywym zaprzeczeniem tej treści, którą zawiera piosenka i zapewne może tylko zachęcić dzieci do pójścia w ślady tego uroczego marynarzyka — czyli do wylegiwania się i żarłoczności. A przecież chyba nie o to chodziło inscenizatorce.

W programie nadużywa się formy solowego występu, szczególnie tańca. Jest to zjawisko w teatrze dziecięcym bardzo niepożądane; przy niewielkich możliwościach technicznych musi prowadzić do zgrywania się aktora i znudzenia patrzącego. Widz-dziecko reaguje przede wszystkim na zmianę układu i bogactwo ruchu, które można osiągnąć zmianami kompozycyjnymi, a więc przede wszystkim w tańcu grupowym i środkami kompozycyjnymi. Dziewczynka występująca w symbolicznej roli — matczynego serca — zostawiona sam na sam z publicznością po długotrwałych ewolucjach falujących rąk (wyłącznie rąk), które miały wyrażać smętek serca, spotkała się z zarzutem pewnie jakiegoś siedmioletniego widza: „Mamo, czemu ona tak rękami macha?" Rzeczywiście po co tak machać rękami, gdy się ma niewiele do powiedzenia. Oczywiście nie odnosi się to do przemilej wykonawczyni tej roli.

Całe nieporozumienie tkwi w tym, że nastąpiło całkowite pomieszanie dwóch różnych rzeczy teatru: samorodnego dziecięcego i teatru zawodowego dla dzieci, gdzie wykonawcami muszą być aktorzy (z minimalnymi odstępstwami od tej zasady). Oczywiście role jego zarówno jak i środki, są zupełnie różne. Punkt ciężkości teatru dziecięcego, a najlepiej szkolnego, bo taką powinna być przede wszystkim forma pracy „teatralnej" dzieci, a przedstawienie jest artystycznym pokazem wyników gdy w teatrze dla dzieci — dziecko jest tylko odbiorcą. Że teatr szkolny nie może i nie powinien naśladować zawodowego, pisał bardzo przekonywująco twórca teatru szkolnego Lucjan Komarnicki w swoich książkach „Teatr szkolny": „Czarodziejstwa Teatru". Zainteresowani mogą w książkach tych znaleźć jasny wykład różnicy środków i zadań teatru zawodowego a szkolnego.

Dobrzeby było, gdyby ludzie, którzy biorą na siebie odpowiedzialną pracę, zahaczającą o dwie bardzo poważne dziedziny, bo pedagogię i sztukę, poważniej podeszli do tych zagadnień.

Twórcy sztuki dla dzieci, biorą na siebie wielką odpowiedzialność. Umysł dziecka jest bardzo chłonny, wrażliwość czuła, takim więc będzie świat jego pojęć i uczuć, jakie sugestie w nim stworzymy. To przecież okres właściwych narodzin człowieka.

*

Te uwagi o występach „teatru dziecięcego" napisałam przed ukazaniem się w „Dzienniku Łódzkim" artykułu p. H. Paszko, pod szumnym tytułem „Polskie Schirlejki grają w Łodzi". Niestety, potwierdza on moje obawy, więc pozwolę sobie uzupełnić je.

Autorka artykułu z iście dziennikarską brawurą zachwyca się wszystkim co tam widziała i słyszała, na widowni i za kulisami. A więc tym, że aktorki są małe, pełne wdzięku (na tym właśnie wdzięku dziecka spekulują pewne niepowołane osoby), że w kostiumach „może nawet jak na upodobania dorosłego widza, zbyt wyrazisty". Dziwny zarzut, wyrazistość gestu nie jest w żadnym wypadku wadą aktora, ani dla małych ani dla dużych, ale oczywiście, jeżeli ten gest jest **właściwy** i znaczeniowo i estetycznie. Ale te „wyraziste gesta" trącą, nie... biją na milę — baletem w stylu „umierający łabędź" u cioci na imieninach.

„Na scenie maquillage jest koniecznością", stwierdza p. Paszko. Słusznie, zgadzam się. Natomiast nie ma u nas tej konieczności, aby dzieci były **aktorami zawodowymi**. Sądzę, że jasnym to jest dla każdego pedagoga z zamiłowania i dla każdego zawodowego aktora, który wie, jak trudną i jak wyczerpującą fizycznie i nerwowo jest praca dzieciństwa i szanse rozwojowe, które daje właśnie nauka? Czyż nie można inaczej pielęgnować ich talentów? Bo Paszko, słowami p. Szumskiej wyjaśnia to nam nowocześniej, żeby nie użyć słowa demokratycznie: „Przeważnie i niemal wyłącznie są to córki robotniczych rodzin z Białegostoku. W domu nieraz straszna bieda i jest to **prawdziwym szczęściem** dla takiej matki-robotnicy, że dziecko samo zarobi sobie na utrzymanie i na szkołę. — I wcześnie zdobywa zawód — odpowiadam".

Więc okazuje się jeszcze, że p. Sz. jest działaczką społeczną, która na swoim odcinku likwiduje nędzę dziecka robotniczego, które przecież musi (!) pracować na swoje utrzymanie i opłatę szkoły, jednym zamachem uszczęśliwiając 20 matek-robotnic, które pewnie tylko o tym marzą, aby ich dzieci pracowały na życie od 10 roku życia. Po prostu obrażająca demagogia. Nie wiem jak to się stało, że publicznie wzdycha się za tym w demokratycznej Polsce aby 10-letnie dziecko zarabiało na życie i zdobywało zawód, oczywiście w oderwaniu od szkoły, bo pogodzenie tych rzeczy, jest niemożliwe.

Miejmy nadzieję, że pomysł teatru zawodowego dzieci — jest tylko jednym z przejawów „prywatnej inicjatywy".

R. Kowalewska

*) Wiemy jak wielką ich cząstkę stanowił koń. Otóż w powieściach współczesnych Sienkiewicza nie mamy ani jednego choćby szkicowo zindywidualizowanego konia, choć wiemy, że Połaniecki „miał niepohamowaną namiętność do koni" i „wziął w komis" luksusowe konie starego Zawiłowskiego po jego śmierci. Porównajmy to z sylwetkami koni w wiejskich opowiadaniach Prusa, a choćby, ograniczając się do tej samej sfery, z wyścigowcami w „Lalce" i „Annie Kareninie". Jak mało zindywidualizowanych koni na wielkiej przestrzeni Trylogii, choć ciągle o nich mowa; rumak w epizodzie porwania Bogusława Radziwiłła jest wyjątkiem.

JAN HUSZCZA

UROCZYSTOŚCI

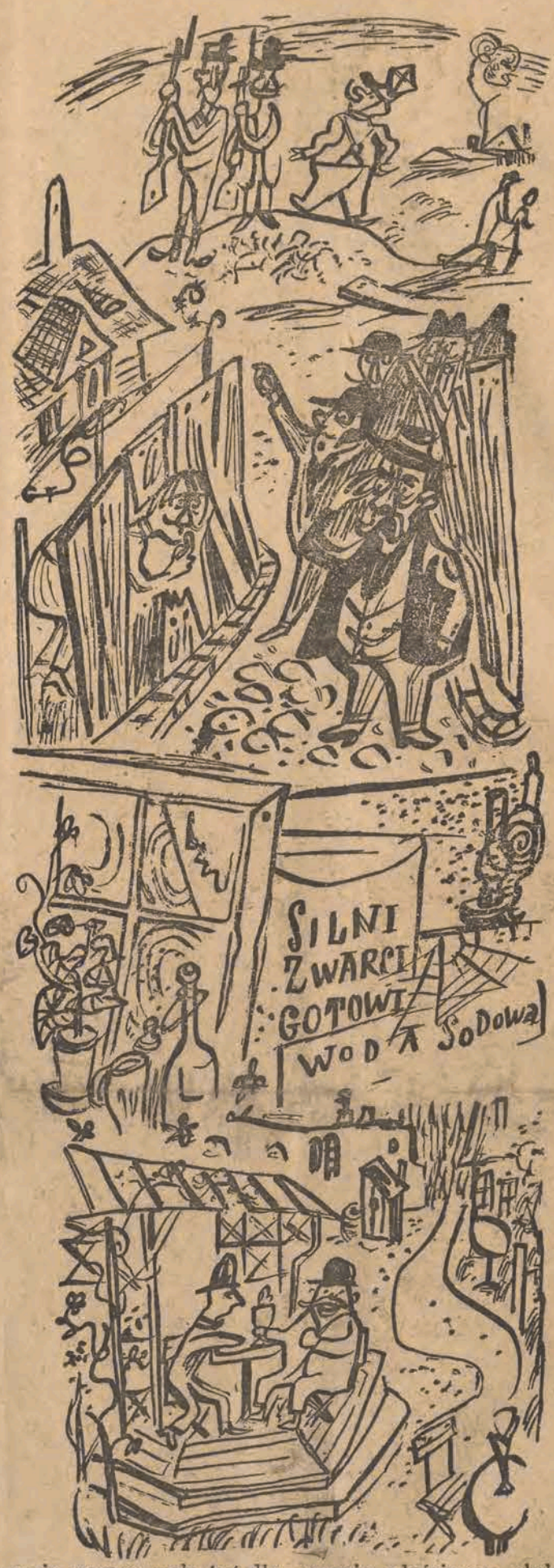

Pod koniec maja nawet w Zapadnikach zaczęto poważnie zastanawiać się nad możliwościami wojny. Jeśli Hitler zechce wojny, mówiono, to będzie ją miał. Część uczniów z drugiej licealnej przestała nawet uczyć się do matury, licząc na to, iż przed pójściem w pole otrzyma świadectwa dojrzałości bez przepisanych egzaminów.

Stało się jednak inaczej i w końcu czerwca na maturze oblano piętnastu najbardziej rosłych chłopców: były to pierwsze ofiary przypuszczalnej wojny.

Z biegiem czasu jednomyślność ustąpiła wielokierunkowości opinij. Jedni, wnioskując z gazet wojewódzkich twierdzili, iż wojna będzie z Niemcami, inni, że lepiejby ją zacząć z bolszewikami.

Były też i bardziej zdecydowane głosy: te wysuwały koncepcję, której realizacja odrazu przeciąłaby gordyjski węzeł wątpliwości, zachciewań i domysłów:

— Najlepiej i jednych i drugich zdzielić po łbie! Nicby świat na tym nie stracił...

Zwolennicy tej ostatniej koncepcji ćwiczyli na piaszczystym wygonie za miasteczkiem z austriackimi karabinkami kawaleryjskiemi wiele uwagi poświęcając zwłaszcza prezentowaniu broni.

Doszło także do bardziej przemyślanych przygotowań: przerwano wstępne prace nad zorganizowaniem poświęcenia kamienia węgielnego pod przystań kajakową na zatoce na rzecz szybszego dokończenia budowy drugiego pomnika marszałka; położono specjalny nacisk na to, aby sklepikarze ozdobili zapajęczynione witryny większą, niż dotąd, ilością portretów; wreszcie sprowadzono z województwa zapas plakatów, ilustrujących popularnie nie tylko w Zapadnikach słowa „silni, zwarci, gotowi...“

Któregoś dnia, narażając się na zmęczenie, jeden z trzech wiceburmistrzów od rana osobiście, w towarzystwie sędziego Zapałkiewicza i sekretarza, przystąpił do lustracji płotów i ogrodzeń. A wiele w tej dziedzinie można było sobie życzyć.

Przy ulicy Akacjowej zauważono sad, bezczelnie obciągnięty aż z dwuch stron drutem kolczastym. Wywołując właściciela posesji na ocieniony chmielami ganek, wysoka komisja poczerwieniała z gniewu i zawołała, wskazując druty:

— Aaa, to pan przeciwko obronności kraju!

— Dlaczego? — próbował udać naiwność tak ostro zagabnięty.

— Jeszcze pan się pyta dlaczego! — prychnęła pogardliwie komisja... — A jeśli, dajmy na to, tędy naprzełaj pójdzie do ataku kawalerja, to te druty ułatwią jej sprawę, co?...

W rezultacie, kierując się szlachetną troską już nietylko o przyszłość miasteczka ale i całego kraju, wszystkim zalecono w dwudniowym terminie znormalizowane sztachety w miejsce wszelkich drutów i płotów.

Wychodząc przy tym ze słusznego założenia, iż precyzja wykonania decyduje o powodzeniu przedsięwzięcia, położono szczególny nacisk na przepisowe, piętnastocentymetrowe odstępy między poszczególnymi listewkami drewna.

W ciągu owych dwu dni nad Zapadnikami rozlegał się trzask łamanych i zrywanych ogrodzeń, unosił kwaśny pył ze zbutwiałych oddawna żerdek i chróśniaku. Stolarze i ich pomocnicy zarobili na inowacji więcej, niż kiedyindziej mogliby zarobić w ciągu całego roku, to też nie skąpili błogosławieństw dla wszystkich, jakich tylko znali, przedstawicieli władz...

Coraz żywiej rozprawiano o wojnie na plaży i wszędzie, gdzie na to pozwalała sytuacja, t. zn. obecność więcej niż jednego człowieka.

M. in. właściciel „Esplanady“ p. Borowik, siedząc na werandzie i opędzając się od much, oświadczył pijącemu zielonkawą lemoniadę burmistrzowi Karaskowi:

— Co do mnie, zawsze wolę żyć dla ojczyzny, niż za nią umierać, bo żyjąc to nawet i zarobić nieźle można...

Magister Karasek spokojnie dopił lemoniadę, otarł chusteczką grube, jędrne wargi i zakonkludował:

— Oczywiście, na śmierć nigdy nie będzie za późno!

Wobec uzgodnienia poglądów, panowie przeskoczyli na inny temat. Zaczęli mówić o akcji dozbrajania, popularyzowanej wśród społeczeństwa. Wszędzie społeczeństwo, rękami swoich najlepszych przedstawicieli, wręczało wojsku zakupione z uzbieranych składek różne szczegóły uzbrojenia: hełmy, pasy, karabiny, ręczne i maszynowe, gdzieś nawet podobno wręczono działko przeciwlotnicze.

W Zapadnikach także odbyła się zbiórka na erkaem. Uroczystość przekazania erkaemu postanowiono połączyć z obchodem rocznicy legionowej, przypadającej na dzień szóstego sierpnia.

W dniu tym spodziewano się usłyszeć ważkie słowa z ust najbardziej do tego powołanych ludzi. Mówiono także, iż w defiladzie weźmie udział nietylko miejscowa załoga zapadnikowska, ale i odbywające w okolicy manewry oddziały pułku.

W wigilię rozlepiono na ścianach plakaty, informujące o capstrzyku i programie właściwego obchodu, a Kwaśkowiak, już jako zastępca komendanta posterunku policji, gdy upał nieco zelżał, po południu wybrał się, aby sprawdzić, czy mieszkańcy w zadowalający sposób przygotowali się do jutrzejszych uroczystości.

Szedł chodnikami, co chwila podciągając ciążący ku dołowi pas z pistoletem. Na popstrzonej krostami twarzy miał wyraz urzędowej powagi, krótkie nogi wyrzucał przed siebie pod kątem zbliżonym do prostego, co w połączeniu z beczkowatym brzuchem nadawało mu wygląd kołyszącego się w prawo i w lewo kaczora, gdy prowadzi swoje stado do stawu.

Do tych, których stanowisko w miasteczku wzbudzało szacunek, wstępował osobiście i łagodnie przypominał o potrzebie dekorowania domów flagami i portretami. Do innych pukał w szyby, wywoływał ich z wnętrza domu na chodnik i tonem, zbliżonym do rozkazującego, pouczał o obywatelskim obowiązku.

Wreszcie, zadowolony ze spełnionego zadania, odkłaniając się sekretarzom i asystentom kancelaryjnym w płóciennych ochraniaczach na rękawach, życzliwie przystanął przed „Esplanadą“.

Burmistrza Karaska dawno już w niej nie było, a Borowik od paru godzin krzątał się z kelnerem przy ustawianiu drewnianego postumentu, obciągniętego biało-czerwonym płótnem, przy rozwieszaniu wieńców, świeżo uwitych z dębowych liści i kolorowej marszczonej bibułki. Jeszcze tylko należało wmontować elektryczne lampki, ułożone w inicjały marszałka, wbić gwoździe dla portretów, ustawić na postumencie wazony z fikusami.

Zastępca komendanta przez dłuższy czas przyglądał się z nieukrywaną satysfakcją tej krzątaninie, potem — jak zwykle, nieco ociągając się i wzbraniając — uległ zaproszeniu i wstąpił, całując po drodze w rękę Zinaidę, do restauracji na t. zw. kieliszek, z którego kiedyindziej pitoby o wiele dłużej, lecz dzisiaj należało spieszyć, żeby wziąć udział w capstrzyku. Już zbliżała się godzina ósma, wschodziły gwiazdy i z ulicy dochodził bardziej niż kiedyindziej ożywiony szmer głosów.

Kwaśkowiak poprosił o szczotkę, przejechał się nią kilka razy po cholewach, aby wydobyć glanc, a Borowik przed lustrem u wyjścia miękko palcami musnął czernione, krótko przystrzyżone wąsiki, grzebieniem odświeżył przedziałek pośrodku głowy między rozgarniętymi na obie strony, przylizanymi płatami rzadziejących już włosów.

Po upływie kilku minut w pobliżu rozległa się dęta orkiestra, w której dźwiękach dominował łoskot bębna i miedziany pobrzęk talerzy.

Z rynku wypływała na ulicę ciemna fala ludzi, smolne pochodnie migotały jak świece, odbijając się w hełmach straży pożarnej i nadając jej drapieżny wyraz groźnej, gotowej do wszystkich defilad, potęgi.

* * *

Gdyby nie nasze — nie wątpimy, że mało pożyteczne — zamiłowanie do gadulstwa, możnaby właściwie ograniczyć się do zacytowania notatki, jaka w parę dni po uroczystości ukazała się w „Gońcu popołudniowym“ w rubryce „Z kraju“.

Korespondent, podpisany skromnymi literkami „wk“ (może sam burmistrz magister Witold Karasek?) donosił:

„Społeczeństwo zapadnikowskie, łącząc się z całym krajem, zamanifestowało swoją jednolitą postawę wobec zakusów, wręczając zakupiony z ofiarnych składek ręczny karabin maszynowy.

Na przebieg tej wspaniałej uroczystości złożyły się: capstrzyk, solenne nabożeństwo w świątyniach wszystkich wyznań z udziałem mieszkańców, organizacyj i młodzieży, defilada i wręczenie, połączone z licznymi przemówieniami, z których na pierwszym miejscu należy wymienić płomienny apel p. burmistrza Witolda Karaska. Trzykrotne okrzyki rozlegały się do późnej nocy w najdalszych zakątkach miasteczka.

Jeśli zajdzie potrzeba, to na zakusy odpowiemy: Wara! Jeśli kto zapyta: Silni? Odpowiemy: Silni!!... Zwarci? Zwarci!... Gotowi? Gotowi!

Czyż może być coś bardziej przekonywującego niż ta żywiołowa demonstracja, spontanicznie zorganizowana wśród flag i uniesienia!

Całość odbiła się szerokiem echem wśród okolicznej ludności, budząc zrozumiałe skonsolidowanie...“

Tak oto wyglądała sierpniowa uroczystość według relacji „Gońca“. Niestety, z powodów wyłuszczonych na wstępie, postanowiliśmy sobie jeszcze raz pofolgować i zacząć od początku, czyli, jak zwykle, od króciutkiego opisu pogody.

Pogoda spisała się, można powiedzieć, doskonale i przeszkadzał jedynie upał, z czym trzeba się pogodzić, bowiem śmiesznie byłoby wymagać, żeby w pierwszych dniach sierpnia padał, dajmy na to, śnieżek na ściętą lekkim przymrozkiem grudę.

Jeszcze z rana wietrzyk zlizał z lipowych liści krople nocnego dżdżu. Dlatego też wokół ręcznych wózków z lodami gromadziły się dzieci, prowadząc za włochate rączki swoich rodziców, któ-

SIERPNIOWE*)

rys. Mieczysław Piotrowski

rzy nie tylko chętnie płacili, ale i równie chętnie sami konsumowali.

Wachlując się skropionymi kolońską wodą chusteczkami, spacerowały dziewczęta. Niektóre z nich — w szewiotowych sukienkach lub w plisowanych bluzkach z piki — zamiast pójść na nabożeństwo, zawczasu zajmowały miejsce wzdłuż ulicy Mickiewicza, żeby widzieć zapowiedziany przemarsz szwadronu kawalerii, która, jak wspomnieliśmy, znalazła się z pułkiem w okolicy Zapadników na manewrach i odwiecznym zwyczajem kawalerii gotowa byłaby po uroczystości nawiązać ściślejszy kontakt z pannami. Czy taki kontakt został nawiązany, o tym korespondent „Gońca" nie wspomniał, więc i my nie będziemy się w to wdawali.

Na ulicach niezabrukowanych, wyglądających jak wtłoczone między domki pola lotnych piasków, upał dokuczał jeszcze dotkliwiej. Co prawda, niekiedy zrywał się wiatr, niosąc chłód z nad rzeki, jednak zamiast orzeźwiać, szybko się ogrzewał wśród murowanych ścian i piasku, przesypującego się przez szprychy kół wozów i lekkich bryczuszek, wdzięcznie osadzonych na elipsowatych resorach.

A przy tym dodać należy, iż tu i ówdzie biegała dzieciarnia (ta, ze względu na wiek jeszcze nie objęta ustawą o powszechnym nauczaniu) i bruździła w piasku zapamiętale bosymi stopami, wzbijając obłoki pyłu, co także raczej nie sprzyjało swobodnemu oddychaniu pełną piersią.

Tymczasem zbliżała się godzina jedenasta i sprzed szkół, sprzed koszarów, i pomieszczeń różnych organizacyj ze sztandarami wyruszono do „świątyń wszystkich wyznań", czyli do kościoła, do cerkwi i synagogi. Jeśli chodzi o przebieg nabożeństw, to odbyły się one według odnośnych liturgii.

Były jednak i nieporozumienia.

W kościele, dla podkreślenia uroczystego charakteru, przygrywała podczas mszy. orkiestra manewrującego pułku. I oto podczas prefacji albo się pomylił kapelmistrz - chorąży, albo wyczerpano repertuar melodyj kościelnych, dość, że nagle rozległy się urzekające tony wspaniałego walca „Nad modrym Dunajem..." Łatwo można sobie wyobrazić, jakie w tym momencie zdębienie ogarnęło wiernych! Nieporozumienie jednak szczęśliwie wyjaśniono na rzecz marsza żałobnego nieżyjącego już Fryderyka Chopina, znanego skądinąd kompozytora, ulubieńca pani George Sand, który w swoim czasie popisywał się nawet przed królem Ludwikiem Filipem w Rouen.

Bezbarwnie — mimo złocistej rjasy popa — wypadło nabożeństwo w cerkwi, celebrowane w milczeniu, gdyż zgromadzeni na klirosie śpiewacy byli pozbawieni kierownictwa. A to przez nadmierną w tym wypadku gorliwość kierownika - psalmisty Mirona Aleksandrowicza, który — żeby nie zaspać i nie spóźnić się do cerkwi — postanowił przez całą, poprzedzającą uroczystość, noc czuwać i wkrótce po capstrzyku swoje postanowienie w jednym z barów wprowadził w czyn. Ponieważ czuwających — oczywiście z innych, im wiadomych powodów — zebrała się spora kompania, przeto na długo przed oznaczoną godziną jedenastą Miron Aleksandrowicz nie tylko zapomniał, iż jest z zawodu psalmistą i czeka nań zaszczytny obowiązek, ale w dodatku zapamiętale przygrywał na skrzypcach w pewnym frywolnym domku, dość daleko od centrum miasteczka położonym.

Co było w synagodze, trudno nam o tym opowiedzieć, gdyż nigdy do niej nie zaglądaliśmy, jako, że nie uznajemy zwyczaju zatrzymywania czapki na głowie.

Po nabożeństwie, zgodnie z zapowiedzianym w afiszach programem, acz nie bez opóźnienia, nastąpiła defilada, na którą z kwiatami czekały przy ulicy Mickiewicza dziewczęta, dzieci i w ogóle mieszkańcy.

Po okrążeniu kilku ulic, uformowano czworobok na rynku, przed domem ludowym, wokół rusztowania z desek, umajonych jedliną.

Z tej to właśnie zaimprowizowanej trybuny, z rozwianymi włosami wygłaszał „płomienny apel" magister Karasek, trzymając przed sobą melonik, na którego dnie — zgodnie z doświadczeniem licznych rutynowanych mówców— ukrył kartkę z notatkami.

Burmistrz w mocnych słowach uwypuklił znaczenie, potem przeszedł na erkaem jako symbol ofiarności, by wreszcie — po dobrze wytrzymanej pauzie — rzucić hasło.

A przez czworobok jakby wieść o podwyżce pensyj przeleciała, gdyż ludzie zafalowali niby łan dojrzałego zboża i wszystkim wydawało się, iż oto on, Karasek, jeszcze tej minuty gotów zejść z trybuny, odrzucić hen precz melonik z zanotowanym przemówieniem w środku, zostawić bez dozoru dom i oszczędności w P. K. O., wziąć karabin do ręki, przywdziać szary mundur strzelca i w charakterze przeszytego na wylot kulami lec gdzieś na mazowieckim polu boju...

Wzniesiony na zakończenie trzykrotny okrzyk „Niech żyje" zwielokrotniał na długo w tłumie, a magister schodził wśród oklasków, ścierając pot z umęczonego czoła i tylko zlekka się marszcząc, gdyż uwierał mu nogę nowiutki lakierek.

Potem nastąpiły inne przemówienia i tyle mówiono i w takich słowach o erkaemie, że odnosiło się wrażenie, iż strzelając z niego, można było podbić cały świat. Ale nikt już nie dorównał Karaskowi!...

Łatwobyśmy wpadli jednak w bombastyczną przesadę, — wypowiadając wierność i posłuszeństwo zasadzie obiektywnej neutralności — gdybyśmy usiłowali twierdzić, iż zapadnikowski rynek bez reszty zapełnili wyłącznie entuzjaści dnia. Była i reszta. Niepokaźna cyfrowo, ale była. Pewną część obecnych wypada potraktować jako zwyczajnych gapiów. Do tych można by zaliczyć niewielką ilość mieszkańców z peryferyj, kilku sklepikarzy a nawet dzieci z młodszych klas szkoły powszechnej. Na dzieciach tych silniejsze prawdopodobnie wrażenie wywarł wczorajszy capstrzyk z pochodniami, a w przeszłości sprzed kilku miesięcy bożenarodzeniowa choinka, zorganizowana przez komitet rodzicielski, przy której rozdzielano pakunki z jabłkiem, trzema cukierkami i kilkoma herbatnikami.

Poza tym nie podchwyciła wzniesionych przez Karaska okrzyków pani Kwiatkowska, która ciągle jeszcze nie mogła darować burmistrzowi, iż nie zechciał u niej zamieszkać.

O ile jednak gapiów, dzieci i Kwiatkowską można ostatecznie zlekceważyć, o tyle grupka panów, skupiona dokoła występującego po raz pierwszy w naszej relacji sierżanta Pietrzaka mogła swoją nieangażującą się pełną jakiejś izolacji, postawą wywołać wręcz podejrzenia.

Jaka szkoda, że nikt z powołanych nie słyszał tego, co powiedział Pietrzak!

W pewnym momencie sierżant Pietrzak zniżył głos i do pochylonych w jego stronę głów szepnął cicho, ale autorytatywnie:

— A wiecie, że z tym erkaemem to czysta lipa?! Jak Pana Boga pragnę, ale ten sam erkaem przed miesiącem wręczano baonowi w Łużykach!

Powiedzieliśmy, jaka szkoda, że nikt z powołanych tego nie słyszał. Ale po namyśle skłonni jesteśmy nabrać przekonania, że może to i lepiej, bowiem: 1) taki obrót rzeczy mógłby w przykry a niespodziewany sposób zakłócić podniosły nastrój, 2) mógłby zaszkodzić samemu Pietrzakowi, człowiekowi chociaż i lekkomyślnemu, ale przecież cieszącemu się opinią nieskazitelnego żołnierza i ładną przeszłością, dowodem czego były krzyże i medale dyndające z pobrzękiem na jego umundurowanej piersi...

Więc jak zauważyliśmy może i lepiej się stało, że informacja sierżanta doszła tylko do uszu jego kolegów. Dodajmy przytem, iż nawet gdyby erkaem — o czym bardzo wątpimy — był tym samym erkaemem z Łużyków, to i tak dałoby się wytłumaczyć ten fakt daleko posuniętą oszczędnością: niby bowiem dlaczego na każdą uroczystość wręczania kupować nowy ręczny karabin maszynowy?...

Wieczorem znaczniejsi obywatele miasta pospołu z władzami i przedstawicielami wojska, zebrali się w sali konferencyjnej magistratu, aby uświetnić dzień skromnym przyjęciem.

Mniej znaczni na swoją rękę rozeszli się także uświetniać do restauracyj. I dlatego z tą chwilą nasze możliwości relacjonowania stają się zupełnie nikłe, jako że trudno ogarnąć społeczeństwo rozdrobnione na grupki, chociaż jednym przeniknięte duchem.

Ponieważ całodzienny upał zmęczył ciała, przeto szczególny nacisk położono na spożycie napojów.

Położył na to nacisk nawet i magister Karasek. A cóż dopiero mówić o radnym Pawluśkiewiczu, który żonę wydelegował na wieczorek taneczny z oficerami, sam zaś znalazł się w licznym towarzystwie przy jednym ze stolików w „Esplanadzie..."

Jeszcze zanim pogasły lampki elektryczne, (a gaszono je o dwunastej) w szklących się niebiesko ciemnościach mdlił zapach maciejki, nad rzeką i zatoką stał żabi prawdopodobnie rechot, dla odmiany pauzowany przezsennym postękiem chróściela, ptaka, który mniej ludzi mógł wzruszyć, niż rumiana gęś obłożona pieczonymi jabłkami albo kurczak w potrawce.

W końcu w różnych, zdeterminowanych ilością spożytego alkoholu, sytuacjach posnęli wszyscy, śniąc przyszłe, pełne blasków, dzieje.

Jedynie dependent notariusza — jak zwykle, najbardziej spóźniony — samotnie, a wytrwale zataczał się w kierunku rodzinnego domu przy Alejach Poniatowskiego.

Zataczał się, pobrzękując, przywiązaną szelkami do rękawa czesuczowej marynarki. szablą i z przejęciem kontynuował rozmowę nie wiadomo gdzie, kiedy i z kim zaczętą:

— Bbo u mmnie ttto zzzawsze zzz kluseczkami!

Jan Huszcza

*) fragment powieści satyrycznej p. t.: „Zapadniki".

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

PLON TYGODNIA

W ciągu ostatnich dni wrześniowych odbył się w Warszawie zjazd uczonych zorganizowanych w ruchu robotniczym i sympatyzujących z nim. Wzięli w nim udział tacy badacze jak Ajdukiewicz, Gąsiorowska, Ossowscy, Rutkowski, Stołyhwo, Szymanowski, Ułaszyn... Wymieniam zapamiętane nazwiska z blisko dwu setek uczestników.

Głównym przedmiotem obrad były zagadnienia organizacji nauki. Obrady odbywały się w przededniu ukonstytuowania się i podjęcia prac przez Radę Szkół Wyższych. Na innym miejscu drukujemy najbardziej zasadniczy referat przedstawiony Zjazdowi przez profesora Jaroszyńskiego. Te problemy. organizacyjne były poruszone w dwu wykładach, z których pierwszy wysunięty przez „grupę krakowską" a przedstawiony przez profesora Leszczyckiego był bardziej umiarkowany w proponowanych zmianach ustawy o szkołach wyższych, niż drukowane przez nas tezy prof. Jaroszyńskiego. Myślą przewodnią obrad była demokratyzacja szkół wyższych. Zastanawiano się zarówno nad zmianą składu społecznego młodzieży akademickiej, jak i nad zmianą atmosfery ideowej na naszych uniwersytetach.

W tych rozważaniach na plan pierwszy wysunęła się oczywiście sprawa młodzieży.

Myślę, że w toku obrad, wśród wielu słusznych spostrzeżeń niedostatecznie uwydatniono kapitalny dla zmiany całej atmosfery ideowej uniwersytetów problem odnowienia atmosfery naukowej, metod pracy badawczej, problematyki fachowej. Doświadczenie mówi, że nie błaha to jest i nieobojętna sprawa. Atmosfera naukowego postępu, rewizji tradycyjnych metod i koncepcji, fermentu umysłowego, którą mamy choćby w takim Państwowym Instytucie Socjologicznym znajduje swoje naturalne uzupełnienie i w krytycyźmie, jasności i postępowości postawy społecznej znakomitej większości studentów, których nauczono walczyć z bezmyślnym przesądem, z martwą tradycją w nauce i którzy nie potrafią być już ciaśni, martwi, zacofani, sarmaccy w życiu, w sprawach społecznych i politycznych.

W tym samym czasie co omawiany Zjazd Postępowych Uczonych, odbywał się polonistyczny Zjazd im. Bol. Prusa.

I właśnie atmosfera ideowej martwoty, filologicznej obojętności wobec współczesności, atmosfera tradycjonalizmu metod i koncepcji naukowych tego zjazdu kazała mi z troską pomyśleć o konieczności odnowy naukowych dążeń naszej humanistyki. Musi to się stać, muszą przyjść nowi, twórczy, naukowo niespokojni, poszukujący, ideowo wyraźnie postępowi ludzie do naszych uniwersytetów, jeśli chcemy, by tak z natury przedmiotu wychowujące, urabiające światopogląd katedry jak polonistyczne, filologiczne, historyczne wychowywały istotnie ludzi zdolnych racjonalnie pojmować procesy społeczne, procesy kulturalne, ludzi zdolnych myślowo sprostać zawiłej problematyce naszych dni, problematyce współczesnego życia zbiorowego, ludzi, którzy by nie żyli bezkrytycznie martwymi tradycjami, a byli zaczynem postępu, rewolucji ideowej, oczekiwanego przewrotu umysłowego w Polsce. Ten przewrót i w końcu XVIII wieku i po roku 1863 zrodził się, jeśli pominiemy jego genezę pozaintelektualną, przecież z wyraźnej odnowy metod i koncepcji humanistycznych. W pierwszym wypadku to było przezwyciężenie tradycji scholastycznych przez materializm francuski, w drugim triumfalny najazd na kraj aż nadto romantyczny takich pozytywistów-nowatorów w zakresie filozofii kultury i wiedzy o człowieku jak Comte, Spencer, Darwin, Taine, Renan, którzy znaleźli u nas wymownych i odważnych przedstawicieli w osobach zbuntowanych do dna przeciw wszelkim zastanym, martwym tradycjom: Krupińskiego, Świętochowskiego, Prusa, Ochorowicza, Chmielowskiego, Smoleńskiego, potem Nałkowskiego i Krzywickiego, że pominę dwuznaczne zasługi „Stańczyków".

*

A tymczasem dziś nurt naszego postępowego życia ideowego jest wąski, leniwy, nie głęboki. Najwybitniejsi zresztą lewicowi teoretycy są ciągle poza uniwersytetami. Obie partie robotnicze i wśród swych członków i sympatyków naliczą sporą garść — ludzi znanych z prac naukowych, dla których ciągle brak miejsca na wyższych uczelniach. Ale i organizacje ruchu robotniczego nie są tu bez winy. Przeżywają okres namiętnego kultu roboty administracyjnej. Iluż ludzi zdolnych do pióra, do pracy ideologicznej trzyma się na placówkach administracyjnych, na których praca teoretyczna jest wykluczona. Jest to objaw poniekąd zrozumiały w pierwszej gorączce odbudowy. Ale trzeba sobie zdawać sprawę, że ideologia lewicy tylko wtedy będzie atrakcyjną, tylko wtedy podbije świadomość społeczeństwa, przyciągnie młodzież, gdy będzie się mogła legitymować twórczym, przodującym wkładem do postępu naukowego.

Trudno się dziwić, iż pismo TUR i organizacja młodzieży socjalistycznej propaguje naukowo i ideowo skompromitowane teorie „humanizmu socjalistycznego" — ostatni doprawdy nieuczciwy intelektualnie chwyt Bluma, który miał służyć rozbiciu jedności klasy robotniczej we Francji. Trudno się dziwić, jeśli zagadnienia te, tak żywotne, nie były u nas przedtem dyskutowane dość gruntownie.

Młodzi socjaliści, chociaż się z nimi w tym wypadku nie zgadzam, coś przecież formułują, — „Życiowcy" natomiast nie grzeszą, bo śpią: dotąd nie wydali swojej broszury programowej, nie wiemy zarówno co sądzą w sprawach społecznych, jak też jaki mają program naukowy czy artystyczny. Zresztą nie tylko młodych to dotyczy. Ideowej krytyki naukowej czy artystycznej legitymującej się jakimś nowatorstwem społecznym i filozoficznym mamy tyle co kot napłakał. Jest co prawda porównawczo rzecz biorąc lepiej i ciekawiej niż wśród polskich katolików czy PSL-owców. Dowodem choćby proste zestawienie periodyków: „Myśli Współcz." i „Znaku" oraz „Wsi i Państwa", że dyskretnie nie powiem nic o tygodnikach. Ale to mała pociecha. Do pracy teoretycznej muszą się znaleźć ludzie tak jak znajdują się ludzie do pracy nad usprawnieniem transportu. Ruch robotniczy winien traktować sprawę stworzenia ekipy pracowników - teoretyków jako zagadnienie tak samo organizacyjne i pilne jak tworzenie ekipy inżynierów uruchamiających przędzalnie na Dolnym Śląsku.

*

Sprawa jest pilna. Wystarczy przeczytać na innym miejscu drukowany w tym numerze naszego pisma artykuł J. Piórkowskiego na temat Powstania Warszawskiego. Artykuł ten tchnie szczerością i bezwzględną uczciwością. Tezy jego nie reprezentują stanowiska redakcji. Odzwierciadla on raczej poglądy tej młodzieży, która w okresie okupacji związana była z Armią Krajową i mutatis mutandis z atmosferą ideową „Londynu", a która potem zrozumiała słuszność drogi politycznej i społecznej lewicy, Obozu Reformy i dziś wiąże się z jego losami. Młodzież ta w imieniu swoim i innych żołnierzy AK jak wynika z cytowanego artykułu, legitymuje się czystością swoich intencji, moralną wartością swego poświęcenia, bezinteresownością swej walki. Nikt im tego nie odmawia! Ale nie ma zgody, gdy chcą tak jak Piórkowski, aby w imię tych wartości uznać i aprobować ich polityczną przeszłość. Bo każdy kto był w konspiracji ma przeszłość polityczną! Nie wolno tłumaczyć się, że było się tylko żołnierzem, politykę zostawiało innym. Każdy z was politykował. W wojsku, które oficjalnie rozkazem Bora uznawało „wartość obywatelską" już wtedy głośnymi mordami bratobójczymi i współpracą z Niemcami skompromitowanych zbirów z NSZ, w wojsku, które nigdy nie umiało współpracować z AL — było aż nadto polityki. Ja znałem młodych robotników z Powązek, którzy przeszli z AK do wojskówki ZWM. Gdy ich spytałem dlaczego to zrobili, odpowiedzieli po prostu: wyszliśmy z szeregów, gdy oficer na zbiórce powiedział, że pierwszym naszym wrogiem jest ZSRR, a nie Niemcy. Czy to tylko na jednej zbiórce było powiedziane? Czy takich rzeczy nie czytało się co tydzień w prasie „delegatury"? Trzeba się uderzyć w piersi i ponosić konsekwencje swoich błędów! AK miała oblicze polityczne. Były w niej żywioły demokratyczne, ale dość było wstecznictwa. Reakcjoniści siedzący zwłaszcza w górach — powodowali, że t.zw. „wojskówki" były zbrojnym ramieniem wrogich postępowi i bałamutnych polityków.

I każdy kto ich do końca słuchał obiektywnie aprobował ich politykę. To jest jasne i żołnierskie postawienie sprawy. Bez wykrętów.

To też nie uważam, aby należało, jak chce Piórkowski, rozgrzeszać wszystkich „akowców" aprobując w zupełności ich polityczną działalność z okresu okupacji. Tym chłopcom należy się tylko sprawiedliwość i uznanie ich rzeczywistych zasług dla postępu i Polski Ludowej. Ale też od nich należy się uznanie własnych błędów i szkód jakie sprawie ludowej i postępowi wyrządzili. Bez oglądania się na czyste intencje! Nie jesteśmy księżmi, nie zaglądamy do dusz, mówimy o oficerach i żołnierzach; nie o zbawieniu wiecznym, ale o budowaniu sprawiedliwości na ziemi, a tu każdy błąd liczy się. W sprawach zbawienia decyduje miłosierdzie, ale w sprawach zwycięstwa postępu decydują czyny ludzkie i tylko ich stosunek do sprawy postępu liczy się.

Jedno można tylko powiedzieć o tych chłopcach z AK, zwłaszcza jak ich się znało w czasie okupacji, że nic ale to nic nie rozumieli ze spraw społecznych, że dla sądzenia trudnych problemów brakło im elementarnej orientacji w ekonomii, socjologii, historii, że mogli kierować się tylko odruchami uczucia, że racjonalny sąd o rzeczywistości przekraczał ich możliwości. I to jest tragedią. Bo ta młodzież weszła w życie nowej Polski. A wiedza jej o świecie, wyrobienie ideowe, krytycyzm niewiele się pogłębiła.

I z tego też względu ożywienie myśli społecznej, kulturalnej, teoretycznej naszej lewicy jest postulatem najpierwszej wagi państwowej.

*

Pewną pociechę stanowi fakt, iż teatry łódzkie pod kierownictwem Schillera zerwały z dotychczasową metodą izolowania się od życia i współczesności. Sztuki Ważyka i Otwinowskiego (recenzowane na innym miejscu) przynoszą nareszcie aktualną, ideową problematykę współczesnej Polski: Teatr staje się powoli trybuną ideową postępu. Ten śmiały krok należy postawić jako przykład innym środowiskom teatralnym. Szkoda, że stało się to tak późno. Obie sztuki winny być wystawione rok temu. Dziś jak słusznie ktoś powiedział, są repliką w stosunku do głosów opinii na te tematy, a były pomyślane przez autorów i winny być głosami inicjującymi dyskusję.

Dużo winy za tę politykę teatralną spada na nasze centralne organy kierujące kulturą i sztuką, które do dziś nie mają w skali krajowej planu tej śmiałej akcji, jaką indywidualnie zainicjował w Łodzi Schiller. A któż jak nie instancje centralne winny wypracowywać ideowe wytyczne pracy przynajmniej państwowych instytucji kulturalnych?

Tymczasem doprawdy w poczynaniach ich trudno dopatrzyć się świadomie przygotowanej i planowanej ofensywy ideowej.

A czas na to najwyższy!

*

Warto podkreślić, że dzięki sztuce Ważyka jest to nie tylko zmiana linii polityki repertuarowej, ale również zmiana tendencji literackich. Problematykę „Starego dworku" kształtuje potrzeba pełnej odpowiedzialności politycznej literatury. I dlatego chciałoby się nawiązać do zeszłorocznej dyskusji o „Elektrze". W tamtej — w pewnym sensie również politycznej sztuce — atakowaliśmy koncepcję człowieka. Społeczne działanie człowieka tamtej sztuki podporządkowane było irracjonalnym mocom i imperatywom. Bo i taką też była natura tego człowieka. Niezależnie od wszystkich innych cech i wartości zasadniczym rewolucyjnym novum literackim sztuki Ważyka jest śmiała konstrukcja człowieka, który w swej naturze i działaniu jest określony przez swą obiektywną, klasową pozycję społeczną, przez klasową treść swej historycznej roli. Jest to zasadnicza rewizja dotychczasowego mniej czy więcej sublimowanego w mistykę psychologizmu literackiego. Ważyk daje to co stanowi istotny fundament oczekiwanego przeobrażenia literatury: wykorzystanie nowej wiedzy o człowieku, wiedzy, której dostarcza nowa humanistyka — naukowego socjalizmu.

JERZY PIÓRKOWSKI

Dyskusja o Powstaniu Warszawskim

Nie można mówić ani pisać o tej sprawie, jak chcą tego niektórzy, jako o zbrodni brata na bracie. Zbrodniarz tej wojny i tych lat jest tylko jeden — faszyzm, a głupoty ludzkiej choćby największej i najbardziej nieobliczalnej w skutkach nie można zaliczyć do systemu świadomego morderstwa. Faszyzm był po jednej stronie barykady, my z naszym heroizmem i żądzą wolności po drugiej. I drogi te nie skrzyżowały się, bo nie mogły skrzyżować się nigdy.

W tej najbardziej męskiej, bo samotnej walce nieugiętego miasta niezwyciężonymi są tylko powstańcze mogiły z pordzewiałymi hełmami na powązkowskim cmentarzu, niezwyciężone jest tylko serce matki, zawsze dumne nawet i z tej najboleśniejszej straty męża, syna, córki..

63 dni płomienia nad milionowym miastem, 63 dni żołnierskiej śmierci i barykady to zjawisko zbyt skomplikowane, zbyt złożone, by można było na nim nieomylnie nalepić jak na wiadomym lekarstwie przygotowaną już uprzednio etykietę, a potem sumiennie, w najlepszym przekonaniu i wierze dawkować już przyszłym pokoleniom.

Byli tacy, którzy ten płomień i żołnierski czyn w oblężonym mieście usiłowali na gwałt przerzucić na jedną stronę barykady Historii. Widziałem wtedy na mieście rozlepione różnobarwne plakaty: „AK — podpalacze Warszawy".

Widzieliśmy wszyscy, i my z tej strony Wisły i żołnierze I armii stojący przy cekaemach na Pradze, kto palił i mordował dzień po dniu Warszawę.

Wściekłość ogarniała człowieka, dlatego, że Wisła, która we wrześniu oddzielała P. K. W. N.-owską Pragę od chłopców dobijanych na barykadach, z każdym takim idiotyzmem występowała na nowo z brzegów, rozlewała się coraz szerzej, coraz gwałtowniej, i stała się nieprzekraczalną nawet dla ludzi dobrej woli. Wiemy, iż tych ludzi nie brakowało ani w AK. ani wśród twórców Lipcowego Manifestu. A jednak nawet walka ze wspólnym wrogiem, nawet jednako silne umiłowanie Wolności i Niepodległości nie potrafiły połączyć bratnich ramion. Uniory niejednego „czerepu rubasznego", przesądy i urazy niejednego pokolenia polskiego złożyły się na ten nadwiślański dramat, gdzie jedyną mową były głosy rozkazów, głośne hurra! rozstrzeliwanych w natarciu kompanij, a jedyną akcją śmierć żołnierza, kobiety, dziecka.

Ten bolesny dramat rozegrał się do końca. Rozegrał się na oczach niemal polskich i sowieckich dywizji stojących w dymie i czadzie z płonącej Warszawy po tamtej stronie Wisły. Żołnierz Powstania miał prawo boleśnie myśleć, miał prawo nawet, nieświadomy kulisów całej afery, znienawidzieć. Ten żołnierz nie prowadził bowiem polityki, ten żołnierz walczył. Razem z nim walczyło całe miasto. I jeżeli po drugiej stronie ujrzał chłopców z orzełkami na rogatywkach, ujrzał sowieckiego żołnierza, z którego wspaniałego ofensywnego marszu cieszył się chyba najbardziej, bo najbardziej niecierpliwie wyczekiwał wyzwolenia, to emocjonalnie rzecz biorąc, miał prawo oczekiwać od nich podania bratniej dłoni, wsparcia całkowitego nawet w tej szaleńczej walce. Ten żołnierz nie znał wymogów strategii, nie znał gierek politycznych „Londynu", nie znał planu „Burza".

Ale ten żołnierz lepiej od swoich generałów wiedział, kto jest jego sojusznikiem w tej walce, a kto wrogiem.

Od sojusznika, od brata walczącego wspólnie z tym samym wrogiem oczekiwał tylko pomocy. Od wroga tylko jednego — śmierci. Żołnierz ten miał najlepsze intencje, najbardziej niezachwianą, bo młodzieńczą wiarę w słuszność swojej sprawy.

Ten żołnierz poniósł wszystkie, bez reszty, konsekwencje głupoty i politycznej donkiszoterii swoich dowódców.

Największą tragedią III Niepodległości i jej jedyną klęską była właśnie droga a-

kowskiego żołnierza, który przez pięć lat walczył, aby tej właśnie Polsce zapewnić niepodległość i bezpieczeństwo. Historia lubi paradoksy, nie lubi ich człowiek. Tym bardziej żołnierz, którego droga w czasie wojny jest prosta i nie skomplikowana.

Żołnierz powstańczy był codzień łudzony nową nadzieją, nową wiarą. O sojuszniku nie wiedział nic, prócz codziennych komunikatów Londynu, omawiających położenie na froncie wschodnim. Sojusznik ten, oddzielony szerokością Wisły, nie wiedział nic o nim, ani o jego walce w płonącym mieście, prócz wiadomości radiowych via Londyn.

Przeszłość nie wraca. Po sczerniałych, wypalonych ogniem i granatem murach pełznie ruchliwym giętkim ruchem Słońce. Dwa lata temu tak samo pełzał po nich płomień. Za sczerniałymi murami, za ceglastymi zwałami gruzów stali chłopcy z rozdygotanym wzrokiem i ze Stenem w garści.

Zasłaniał ich dym, bijący czarnym, nieustannym słupem nad miastem. Była to jedna wiara — nienawiść do faszyzmu, była tylko jedna nadzieja — śmierć.

6 lat temu ich ojcowie, bracia i żołnierz zmobilizowany, robotnik z pepesowskich batalionów obrony Warszawy Mieczysława Niedziałkowskiego — trzymali te same barykady. Miasto tak samo płonęło, głupcy tak samo opowiadali o desantach angielskich w Gdyni i Królewcu, o potężnych armadach powietrznych mających lada chwila przyćmić niebo nad Warszawą.

Ten wrzesień był nie tylko naszą klęską, powodującą na długie lata utratę bytu narodowego. To była zarazem pierwsza klęska strupieszałej, lordowsko - rentierskiej Europy. Marcel Deat krzyczał, że nie chce się bić za Gdańsk. Potem nie chciał się bić za Francję. Biłby się tylko napewno o jedno, biłby do upadłego o swoje konto bankowe, o swoje akcje. To faszyzm mu zostawił, jak niezupełnie obgryzione kości, wzamian za jego bełkot. Marcelów Deatów były tysiące. *Nie chcieli* się bić o Pragę, Bergen, *Brukselę*, Belgrad. Dzisiaj nie będą się bić o jugosłowiański Triest czy polski Szczecin i Wrocław. Ale będą się bić o to, by kopalnie śląskie wróciły znów do niemieckiego kapitału, a Łańcut i Nieśwież w splendorze hrabiowskich i książęcych tytułów przyjmowały nowych Goeringów i Goebelsów. Czy cośkolwiek łączyło akowskich chłopców z tymi pogrobowcami faszyzmu? Żaden człowiek dobrej woli nie może mieć tutaj ani cienia wątpliwości. A już najbardziej Warszawa, miasto, które ich wyhołubiło, które tak w nich wierzyło, i które nigdy się na nich nie zawiodło.

W dniach spowitych burymi słupami dymu z płonącej Woli widać było na ulicach zgięte sylwetki kobiet, wyrywających rękoma jak szponami bruk i beton warszawskiej ulicy na barykady. Dla żołnierzy wciąż napływających, nie starczało nawet opasek. Nikt nie bał się łun nad miastem, nikt nie bał się śmierci.

Nie było faszyzmu, była noc wolności, był dzień barykady bez przeklętego „stania z bronią u nogi", z granatem, z peemem, z walką.

*

Nie jesteśmy pierwszym pokoleniem tragicznym. Przed nami były pokolenia Warny, Cecory, Samosierry i „nocy listopadowej". Ostatnim chyba królem, który myślał i czynił naprawdę po polsku był Władysław Jagiełło. Odtąd prowadziliśmy politykę Wazów, Habsburgów, Watykanu, Paryża, Londynu. Zapomnieliśmy o Polsce. Stopięćdziesiąt lat niewoli było okresem, gdzie nawet jak na nas, głupota polityczna za często dochodziła do głosu. Królowały osobiste ambicje i ambicyjki, programy i programiki, gry i gierki. Zwykle tak bywało, iż tam gdzie się najwięcej mówiło, najmniej się myślało o Polsce. I dlatego byliśmy wszędzie tam gdzie mówiono, iż biją się o naszą wolność, nie byliśmy tam, gdzie mówiono o nas i gdzie losy nasze rozstrzygano. Ta droga nie skończyła się w „dwudziestoleciu". Przetrwała i w nocy okupacji.

Czyż ta polska Biała Góra, barykady i zgliszcza ulic warszawskich, czyż te mogiły najdzielniejszych, najlepszych, najprawszych nauczą tych, co pozostali przy życiu, że prawda może być tylko jedna. Że wszystkie drogi: i spod Narwiku, i spod Lenino, i spod Monte Cassino prowadzą do Polski?

I że Polska jest jedna. Że żadnej nowej drogi nie odnajdziesz, żadnej innej Polski nie stworzysz.

O co biły się warszawskie barykady? O co walczyła Armia Krajowa? A. K. w swoich założeniach miała być „wojskówką", miała mieć tylko jeden cel: Niepodległość. Dlatego tak szeroką ławą wstępowali do niej młodzi, nie chcący niczego innego, jak tylko walki, stąd jej moc i siła. Polityka w oczach tych „powstańczych" roczników, roczników 1918 — 1929 była dość już skompromitowana BBWR-em i Ozonem. Nikt do niej nie tęsknił. Od wszelkich innych idei jak „państwowotwórczych" reżim sanacyjny starał się tych chłopców jak mógł odgradzać.

Dlatego może było to pokolenie ułomne. Gdy ich ojcowie i bracia czytali w ich wieku Marksa i Engelsa, słuchali Daszyńskiego, oni mieli prawo i chcieli słuchać tylko gwizdu serii z peema i łomotu wybuchających granatów. Nikt im nie zaprzeczy, iż w tych latach mieli rację. A przecież jedno jest pewne, niezachwiane. Ci chłopcy bili się o Polskę inną, lepszą, jaśniejszą, właśnie o nią: — Polskę sprawiedliwości społecznej.

Niedarmo śpiewali naiwnie i pięknie:
— Idziemy z wiarą w nowy jutra świt,
Choć wkoło nas świat burzy się i wali,
Budując Polsce, nowy, lepszy byt,
Jesteśmy czołem w świt idącej fali...

Tak śpiewali chłopcy na barykadach na Woli. Instynkt ich nie zawiódł. Walka jaką toczyli była walką i o sprawiedliwość społeczną. O Polskę człowieka pracy. A przecież tacy tylko walczyli. Jan Kryst, ślusarz nie poszedł do „Adrii" na śmierć, by Branicki czy Potocki mógł powrócić do Wilanowa i Łańcuta. On poszedł po to, by w łańcuckim i wilanowskim pałacu mogły się uczyć chłopskie dzieci.

Chłopcy nie po to wysadzali pociągi z amunicją idące na front wschodni, by po Wyzwoleniu jakiś odrodzony „Aktiengesellschaft" pchał polską stal i polski węgiel na dywizje pancerne nowego Brauchitscha. By polski żołnierz umierał kiedyś z taką samą rozpaczą jak angielski biedny „Tommy" rozrywany przez własne miny na przedpolach jeszcze wówczas faszystowskiego Tobruku.

Ta stal i węgiel jest polska, to znaczy Polaków, to znaczy wolnego człowieka. I pójdzie nie na czołgi czy działa, ale na szkoły, domy w Warszawie, dźwigi portowe w Szczecinie, berlinki na Odrze. I dlatego nikt z nich o ile czuje tak samo i tak samo myśli jak wtedy gdy wchodził na barykady, nie będzie zdzierał Manifestu Lipcowego P. K. W. N.'u. Bo jest on tylko potwierdzeniem i wyznaniem jego wiary. Tej wiary, z którą walczył. Tej wiary, z którą umierał.

A plakaty, niedobre plakaty zedrzemy. Bo Wisła nie ma już zburzonych wszystkich mostów, jeden odbudowano. A obce twarze tych, którzy jednakowo szli na niemieckie „Pantery" i cekaemy są dla siebie coraz bardziej znajome. Przypominają się. I nikt nie będzie już próbował nawet spychać tej „akowskiej" Polski w objęcia reakcji.

W mieście barykady dawno już porozbierano, wyblakłe dzieci nikle uśmiechają się do słońca. Tam, gdzie dawniej stała barykada położono siwą, nikłą wstążkę szyn. Po niej robotnicy o spalonych na brąz twarzach, głęboko, rzetelnie oddychając, pochyleni jakby szli za czołgami do ataku pchają zardzewiałe, przenikliwie zgrzytające wagoniki z gruzem. Dzieci przystanęły, gapią się, potem, perliście śmieją się w niebo.

Najmłodsze podbiega, a potem trwożliwie cofa się, jakby ogarnięte przez jakąś nieprzyjemną falę. W dołeczkach policzków świeci się nikły, ciepły blask. Potem ciepłymi, miękkimi jak puch rączkami złapie za zaszargane, rozdarte spodnie robotnika. I tak pójdą dalej po strudze, przez chwasty i zielsko bezładnie i dziko krzewiące się na ruinach.

To dziecko może zupełnie porozwala te mury, obsiekane przez kaemy i działka, zniweluje ziemię, na której stały barykady. Postawi nowe gmachy ze szkła, jak o tym myślał jego brat na barykadzie. Nie zmieni tylko jednego. Tych mitów. Mitów chłopców, godnych niezłomnego miasta. Mitu niezłomnego miasta, godnego swoich obrońców. Mitów szlachetnych.

Jerzy Piórkowski

STANISŁAW DYGAT

Wielkanoc

Okres Wielkiejnocy 1943 roku stanowi w panoramie okupacyjnych wydarzeń akcent szczególnie mocny i wyodrębniony z tła wrażeń najsilniejszych choćby, ale już potocznych w konsekwencji akcji dramatu nazwanego „Generalną Gubernią".

Ustanowienie przez Niemców w 1940 roku ghetta wyrwało z Warszawy żywy kawał miasta, który w świadomości warszawiaków z „tej strony" murów odpłynął gdzieś hen, daleko w okolicę zdarzeń z życia Chin, Meksyku i Alaski. Z początku można było przyjrzeć się tej egzotycznej krainie jak w kronice filmowej, z przejeżdżającego na zasadzie tranzytu tramwaju, potem i te tramwaje skasowano i tylko nadchodziły ponure wieści o apokaliptycznych zdarzeniach w otoczonym murem mieście. Czasem wpadał niespodzianie do naszych domów któryś z żydowskich przyjaciół: udało mu się ujść z egzotycznej krainy, przynosił ze sobą smak łez spod „Muru płaczu", melodię żydowskich martyrologii z całych dziejów, wciśniętej niespodzianie w warszawską dzielnicę, a potem niknął ukryty w najróżniejszych skrytkach warszawskich kamienic. Nasze dni płynęły dalej wśród wiadomości o akcjach na dalekich frontach świata, o akcjach eksterminacyjnych w północnej dzielnicy, o śmierciach przyjaciół.

Ale nocy kwietniowej z 18 na 19 ghetto warszawskie powróciło niespodzianie z egzotycznej dali i przypomniało Warszawie, że jest czynną częścią jej miejskiej świadomości. Tej nocy obudziły nas odgłosy strzelaniny, które tak często rozdzierały na moment warszawską noc i milkły niewiadome i tajemnicze. Tym razem strzelanina nie umilkła, przeciwnie, wzmagała się i nietrudno było dociec, że to już nie zwyczajna strzelanina, ale formalna bitwa... Rozpoczęło się pełne bohaterskiej determinacji powstanie warszawskiego ghetta.

Tragiczny patos okupacyjnego losu warszawskich Żydów a szczególnie to zakończenie o biblijnej grozie narzucało się w bolesny sposób ze względu na bliskość, jako inspiracja do dramatycznych ujęć literackich. Dał się tej inspiracji unieść Andrzejewski w swoim „Wielkim Tygodniu", podobnie Otwinowski w „Wielkanocy". Forma dramatyczna najbardziej właśnie nadawała się na stworzenie tej inspiracji ujścia, forma dramatyczna typu nastrojowego w którym układ elementów patetycznych i tragicznych dominuje nad refleksją i dialektyczną problematyką.

„Wielkanoc" Otwinowskiego nie jest sztuką ani o problemie żydowskim, ani o antysemityźmie. Mimo historycznych aluzyj, nie rości sobie żadnych pretensyj do historycznej analizy, zarówno jak mimo aluzji społecznych nie zamierza przeprowadzać analizy społecznej. Jest po prostu obleczonym w kształt dramatu wzruszeniem artysty nad patosem wydarzeń i wzruszeniem osobistym nad losem przyjaciół żydowskiej narodowości. Jest przy tym wszystkim należnym hołdem polskiego artysty dla heroizmu polskich Żydów.

Akcja „Wielkanocy" rozgrywa się poza Warszawą w typowym prowincjonalnym miasteczku oraz w Warszawie już po powstaniu. Samo powstanie rzuca niejako z za kulis potężny cień, który pada na miejsce rozgrywającej się akcji i na działające osoby. Jest to dowodem dużego taktu artystycznego pisarza. Wielkie czyny i zdarzenia historyczne przemawiają same przez siebie i próby bezpośredniego atakowania artystycznym instrumentem na ogół zawodzą, przeinaczając, pacząc i fałszując elementy wielkości i pozostawiają w rezultacie uczucie niesmaku. Powstanie warszawskiego ghetta, ukazane w „Wielkanocy" za pomocą odległych wieści, nastrojów i splotów ludzkich losów czyni na nas większe wrażenie niż gdyby ukazano nam strzelaninę pod murami na Placu Krasińskich, albo przemienioną w fortecę kamienicę przy ulicy Gęsiej. Wywołuje w nas wspomnienie właśnie tamtej nocy z 18 na 19 kwietnia, gdy przebudzeni wsłuchiwaliśmy się ze wzruszeniem w odgłosy rozpoczętej walki o wolność północnej dzielnicy Warszawy.

Jest jeszcze jeden wątek „Wielkanocy", splatający się kontrapunktycznie z głównym tematem. To kwestia strachu, tego szczególnego gatunku strachu, który nazwać można „strachem okupacyjnym" i od którego nikt nie był wolny. Strach ten dominował nad codziennym życiem każdego, stał się nieodstępnym towarzyszem najdrobniejszego działania, nie wywołał w nikim wstydu, nie przynosił ujmy. Stanisław Łaski dostaje histerycznego ataku tylko z tego powodu, że pod tym samym dachem co on przebywa Żydówka, na samą myśl, że miał by ją przechowywać. Ale kiedy ponosi go patos wydarzeń, wśród kul i niebezpieczeństwa pierwszy śpieszy jej z pomocą i nie dlatego że, jak ktoś z krytyków fałszywie zrozumiał kocha się w niej, ale, że tamten „strach okupacyjny", codzienny, którego atakiem został przez moment tknięty jest tym dla charakteru, co niemiecka „kennkarta" dla postawy prawdziwego Polaka. Przeciwnie antysemita Siciński, który usiłuje lekceważyć objawy tego rodzaju strachu i wygłasza wciąż zdanie, że „my w ogóle za bardzo się wszystkiego boimy", przy próbie odwagi ucieka z niebezpiecznej sytuacji poniesiony podobnym atakiem paniki, jakiego doznał Łaski, kiedy żadnego konkretnego niebezpieczeństwa jeszcze nie było.

Postaci swoich bohaterów rysuje Otwinowski w sposób zwięzły, żywy i barwny. Interesuje go w literaturze przede wszystkim człowiek, dlatego umie świetnie stawiać typy i charaktery i daje aktorowi nawet w najdrobniejszym epizodzie bogaty materiał dla aktorskiej przeróbki. Znakomite wykonanie aktorskie sztuki stworzyło szereg postaci żywych, nieomal prosto z życia przeniesionych. **Ewa Kunina** była wzruszająca w swoim żydowskim smutku z zabłąkanych uliczek prowincjonalnego miasteczka i w sceptycznej wierze w dobrą stronę ludzkiej natury. **Zelwerowicz** jako szlachetny i nieco „narwany" demokrata ukazał szczyty aktorskiego kunsztu. Naturalność i bezpośredniość tego wielkiego artysty wprawia widzów w zachwyt i smutne rozczarowania ilekroć schodzi ze sceny. Określenie: „delektować się" rzadko znajduje tak właściwe zastosowanie jak w stosunku do aktorskiej sztuki Zelwerowicza. **Kossobudzka** jest aktorką młodą, ale o technice całkowicie już opanowanej. Po roli Ewy wysuwa się niewątpliwie na czołowe miejsce wśród młodego pokolenia aktorskiego. Swoją rolę trudną i niebezpieczną, bo co krok zagrażającą wylewom egzaltacji przeprowadziła bezbłędnie, umiejąc wydobyć wszystkimi środkami aktorskiej ekspresji tragiczną poezję z losu człowieka uciśnionego. **Woźniak** miał rolę bodaj najtrudniejszą bo najmniej w typie określoną tekstem i nieco podejrzanie metafizyczną. Poradził sobie z nią na ogół dobrze, choć może miejscami nazbyt zaopatrzony był w pustkę bohaterów romantycznych. Myślę, że trochę winy za to zechce wziąć na siebie i autor. Wszystkich innych wykonawców **Maliszewskiego, Karola Leszczyńskiego, Pietraszewskiego, Possanta** należy jak najchwalebniej wymienić, jak również doskonałe epizody **Puchniewskiej, Lubelskiego i Pilarskiego.**

Jest faktem godnym uznania, że teatr W.P. rozpoczyna nowy sezon debiutem scenicznym polskiego autora. Z niemniejszym przeto uznaniem należy powitać wkład jakiego dokonał teatr dla zrealizowania tego debiutu. Inscenizacja przeprowadzona, jak głosi afisz, przez zespół wnosi wiele świeżego powietrza do mocno nieprzewietrzonej w ubiegłym sezonie (zaznaczam, że spędziłem go w Krakowie) sceny. Inscenizacja ta jest typu schillerowskiego, reprezentuje więc jedyną zwartą, logiczną i oryginalną koncepcję teatru w Polsce. Teatr schillerowski jest teatrem współrzędnego zgrania wszelkich elementów sceny: gry aktorskiej, plastyki (do której można zaliczyć również światła), muzyki i żywego słowa. Jakikolwiek przypadek jest tu wyrugowany; cień aktora, czy przedmiotu na ścianie stanowi równie ważny element przedstawienia jak gest czy rytmika słowa współgrającego z rytmem muzycznego podkładu i jest jednym z wyników ogólnej kalkulacji artystycznej. Aktor dochodzi do koncepcji kreowanej przez siebie postaci nie tylko na tle analizy tekstu i charakteru ale podlega jeszcze nastrojom, które jak w życiu powstają przez układ zdarzeń i pozornych przypadków, tak na scenie schillerowskiego teatru układają się z elementów scenicznych środków. Ten nastrój mistrzowsko wydobyty jest w „Wielkanocy" i częstokroć gra rolę głównej na scenie postaci wodząc za sobą aktorów. Znakomicie opracowana strona plastyczna przez **Cegielskiego** i niepokojąca, piękna muzyka **Krenca** są głównymi elementami nastrojów sztuki, które niejednokrotnie dominują tekst i przemawiają własnym teatralnym życiem. Ta pierwsza w sezonie premiera teatru W.P. wzbudza jak najżywsze zainteresowanie teatrem, który wreszcie w Polsce stawia sobie zagadnienie nie tylko repertuarowe i kasowe, ale zapowiada rozwojową linię polskiej koncepcji teatralnej sztuki.

Stanisław Dygat

OSTATNIE SENSACYJNE NOWOSCI WYDAWNICZE

STEFAN OTWINOWSKI
Czas Nieludzki
Str. 130.
Zł. 130.—

KRYSTYNA FUZAKOWSKA
Miejsce wśród ludzi
Str. 170.
Zł. 180.—

do nabycia we wszystkich księgarniach

„Oficyna Wydawnicza", Katowice, Młyńska Nr. 2. Tel. 334-85 i 366-37
Konto w P.K.O. III —4949.

„Wielkanoc" Stefana Otwinowskiego w Państw. Teatrze Wojska Polskiego, Dekoracja St. Cegielskiego. Zdjęcia wykonali St. Brzozowski i J. Malarski

Józef Maliszewski, Aleksander Zelwerowicz i Tadeusz Woźniak w dramacie Stefana Otwinowskiego „Wielkanoc" w Państw. Teatrze Wojska Polskiego. Zdjęcia wykonali St. Brzozowski i J. Malarski

Stary Dworek" Adama Ważyka w Teatrze TUR w Łodzi. Reżyseria Wł. Krasnowieckiego, dekoracje Otto Axera. Zdjęcia wykonali St. Brzozowski i J. Malarski

Józef Węgrzyn, Władysław Staszewski, Jan Świderski w sztuce „Stary Dworek" A. Ważyka w Teatrz TUR w Łodzi. Zdjęcia wykonali St. Brzozowski i J. Malarski

EDWARD CSATÓ

„STARY DWOREK"

na scenie Teatru Powszechnego

Treść sztuki Adama Ważyka da się ująć mniejwięcej tak: w dworku polskim, gdzieś w Generalnej Gubernii — bo rzecz dzieje się w czasie okupacji — mieszaniną stylów i dobudówek wykazującym swą niewątpliwą starość, mieszka rodzina: pan Stanicki, trzydziestopięcioletni właściciel ziemski, jego stara matka i o kilka lat od niego młodsza żona. Żona skończyła architekturę, marzy o przebudowaniu dworku po wojnie. — Nastrój okupacji. Dwór roztacza opiekę moralną nad ćwiczącym się w strzelaniu oddziałem wiejskim (autor nie określił go organizacyjnie); po okolicznych lasach kręci się partyzantka AL-u, walcząca z Niemcami. — Stanickim potrzebna jest pokojowa, więc namawiają młodą dziewczynę wiejską, Marynę, aby wstąpiła na służbę. Maryna, z początku niechętna, ulega osobistemu czarowi żony dziedzica i zgadza się. Oficer partyzantów, Galiniec, przychodzi do Stanickiego z prośbą o użyczenie mu prowiantu; otrzymuje wieprzka. Okazuje się, że młoda pani Stanicka zna dobrze tego oficera — był ongiś jej kolegą na architekturze, wesołym chłopcem, który zdawał się nie myśleć o sprawach polityki.

To ekspozycja, zajmująca w ujęciu dramatycznym akt pierwszy. Konflikt zaczyna się, gdy następuje starcie Alowców z oddziałem niemieckim i gdy Galiniec przychodzi do dworu po pomoc. Chodzi mu o wprowadzenie do walki „stojącego z bronią u nogi" wiejskiego oddziału. Dziedzic w pierwszym porywie zgadza się, ale jego totumfacki, leśniczy Lalewicz, odgrywający rolę, jak gdyby politycznego łącznika, oraz komendant oddziału, sierżant Śliwa, sprzeciwiają się pomysłowi wspólnej akcji z „czerwonymi", aresztowują Galińca we dworze i oddają go pod straż Stanickiego. Dopiero sami chłopi przełamują impas. Maryna przedziera się przez pilnujące dworu warty, wzywa Galińca do czynu. Wiejski oddział prawie w komplecie idzie na pomoc partyzantom.

Mogłoby się zdawać, że to jest kulminacyjny punkt dramatu. Ale nie — dopiero teraz zaczyna się konflikt istotny — pomiędzy dworem a wsią. Wyrwanie się do walki z Niemcami wbrew instrukcjom dworu jest dla wsi ostatnim akcentem w procesie emancypacyjnym. Dla dworu oznacza to zagładę, bo jego przodownicza rola we wsi skończyła się. Udział w akcji młodej pani Stanickiej, porwanej samym formalnym urokiem walki (krystalizuje się to u niej jako uwielbienie Przygody) czyni sytuację dworu jeszcze trudniejszą. Konflikt trzeciego aktu to nagle ujawniona nienawiść pomiędzy światem „starych dworków" a ludźmi Reformy. Na razie partyzantka nie liczy się z protestami dziedzica, zajmuje dwór, tłucze w nim chińską porcelanę, odpoczywa, bawi się, pije. Budzi to protest nawet młodej Stanickiej, której chwilowa sympatia do tych ludzi skończyła się na „problemie wódki". — Wczesnym rankiem, gdy wszyscy śpią, wdziera się do dworu sierżant Śliwa. Z rozkazu leśniczego ma zamordować Galińca. Przeszkadza mu w tym stara dziedziczka, nienawidząca zresztą tamtego świata niemniej od niego. Jej szlacheckie i religijne nawyki myślowe pozwalają jej zgodzić się na morderstwo „wszędzie, byle nie tu". Tą aluzyjną sceną kończy się sztuka Ważyka.

W streszczeniu swym pominąłem charaktery osób. Warto o tym powiedzieć kilka słów. Autor nie ulega łatwiźnie, która może najfatalniej zaciążyć nad tego typu politycznym dramatem. Sympatyzuje z ludźmi Reformy i głosi swoją sztuką ich — moralne na razie — zwycięstwo; mimo to nie widzi konfliktu w dwóch tylko barwach — czarnej i białej. Zostawia ludziom ze starego dworku pełnię dobrych intencji i szlachetnych gestów. Stanicki niezdecydowany, szarpany wewnętrznymi konfliktami, wiedziony pierwszym instynktem, pragnie jednak dać pomoc partyzantom. Ale nie orientuje się w sytuacji i kiedy dwaj faszyści tego dramatu Lalewicz i Śliwa, przyciągają go na swoją stronę, idzie za nimi z całym ładunkiem swoich szlachetnych uczuć; daje się wciągnąć w konflikt, który musi się skończyć jego klęską. — W podobny sposób można by zanalizować wszystkie charaktery i na pewno nigdzie nie znaleźlibyśmy prymitywnych, demagogicznych uproszczeń. Przedstawiciel sztabu partyzantów, Galiniec, nie składa się zresztą również z samych zalet: gdyby nie interwencja Maryny, dałby się spokojnie internować we dworze i wygubiłby w ten sposób cały swój oddział.

To skomplikowanie etyczne bohaterów sztuki Ważyka nie wynika jednak z bogactwa ich indywidualnej psychiki. Przeciwnie, autor, powodowany troską o znalezienie odpowiedniego wyrazu dla typowych, społecznych właściwości swoich bohaterów, jest nad wyraz oszczędny w malowaniu ich osobistych rysów charakterystycznych; zostawia w ten sposób teatrowi pewien luz, umożliwiający dużą dowolność interpretacji. Nie trudno jest przydzielić każdą niemal z tych figur jakiemuś kierunkowi intelektualno-społecznemu, jakiejś generacji, grupie, ideologii. W ramach statystycznego prawdopodobieństwa, na które pozwalają uogólnienia socjalne, przydział ten dokonany jest bezbłędnie. Jako przykład weźmy dwie postacie: leśniczego Lalewicza i sierżanta Śliwy. Lalewicz jest oficjalistą dworskim (autor nie podaje jego wieku, inscenizator — mam wrażenie, że słusznie — uczynił go starym), Śliwa młodszym, zawodowym podoficerem. Przedwojenni podoficerowie zawodowi należeli w większości swej do najbardziej staszyzowanych grup pośrednich pomiędzy drobnomieszczaństwem a lumpenburżuazją; Śliwa jest najkonsekwentniejszym i najradykalniejszym faszystą w „Starym dworku". Lalewicz silniej związany z ziemią i dworem, jest mniej zdecydowany w swoich poglądach, bardziej konserwatywny, w drażliwych wypadkach skłonny do wyręczania się Śliwą. W pewnym momencie wywiązuje się pomiędzy nim a Stanickim taki dialog:

Lalewicz: — Trzeba się zdecydować na jedno. Śliwa jest bardzo dobry.

Michał: — Śliwa jest do niczego.

Lalewicz: — Pan go nie zna. Zastrzeliłby Galińca bez zmrużenia dowiek. Galińca, Józka, Marynę...

Michał: — Pan już układa listę.

Lalewicz: — Ja to mówię dla przykładu.

Przykłady Lalewiczów urzeczywistniają potem Śliwowie, do których Lalewicze zresztą nie zechcą się wkońcu przyznać; powiedzą o nich raczej pogardliwie słowami Lalewicza ze „Starego dworku": „dezerterzy spod ciemnej topoli". Ile w tej analizie jest głębokiej prawdy, przekonują nas czasy dzisiejsze.

Wszystkie inne postacie (oprócz może występujących w dramacie chłopów) również w stosunkowo łatwy sposób możemy zlokalizować społecznie. Trudniej natomiast wyobrazić je sobie jako żywych ludzi, bo — jak powiedzieliśmy — autor oczyszcza je z wszystkich niemal rysów indywidualnych. Trudność ta powiększa się jeszcze przez różnicę między rozpiętością czasową, w której dzieje się akcja sztuki a okresem, w którym odbywa się jej rzeczywisty konflikt.

Łatwo zauważyć w „Starym dworku" charakterystyczną jedność czasu, akcji i miejsca. Jedność ta jest zupełnie naturalna, nie powodują jej jakieś z góry narzucone konwencje, z jakimi mamy do czynienia np. w pseudoklasycznej tragedii. Otóż można zauważyć, że dramaty, posiadające taki naturalny, nie narzucony zbiór trzech jedności, są zazwyczaj scenicznymi epilogami spraw, które rozpoczęły się już gdzieś dawniej. Treścią sztuki Ważyka jest również stary konflikt między wsią a dworem, znajdujący w reformie rolnej naszego czasu swoje ostateczne rozwiązanie. Ale aby ten konflikt zarysować bez przeładowywania dramatu wielką ilością zróżnicowanych postaci, musiał autor zaryzykować pewne nieprawdopodobieństwa obyczajowe. Stosunek wsi do dworu już nie tylko w okresie okupacji (kiedy to dobrze zarabiająca wieś wyemancypowała się zupełnie pod względem ekonomicznym), ale nawet po pierwszej wojnie światowej, nie wygląda na ogół tak, jak go przedstawia Ważyk w swojej sztuce. Postać Józka, raz bijącego swą siostrę, aby ją namówić na służbę do dworu i z uniżoną gorliwością chyliącego głowę przed dziedzicem, a za chwilę wypominającego jej że przekupił ją dwór i „będzie mu donosić na chłopów" — nie jest podobna do tego, co mogliśmy obserwować w rzeczywistości. Ale bo też ideologicznie akcja „Starego dworku" zaczyna się nie rankiem owego feralnego dla Stanickich dnia, ale znacznie wcześniej; może gdzieś zaraz po zniesieniu pańszczyzny.

W dramatach, posiadających takie naturalne, jak u Ważyka „trzy jedności", na ogół takiego nieprawdopodobieństwa obyczajowego nie dostrzegamy. Dramaty te jednak mówią przeważnie o konfliktach jednostek, podczas gdy tu mamy do czynienia z bardziej abstrakcyjnym konfliktem klas społecznych.

Rozmowa pomiędzy Galińcem, Stanickim a Lelewiczem w drugim akcie wydaje się również czymś fałszywym. W praktyce stosunek oddziałów podziemnych do AL układał się rozmaicie. Gdy oddziały te znajdowały się pod wpływem NSZ, pomoc była z reguły wykluczona; natomiast doły AK często pomagały formacjom A L. Stąd mała stosunkowo typowość tej rozmowy w warunkach określonych przez akcję dra-

matu; a jednak podobna dyskusja na pewno mogłaby mieć miejsce na jakiejś schadzce sztabów obu armii; argumenty, padające z obu stron są właściwe i celnie dobrane, ogólna analiza sytuacji poszczególnych ruchów całkowicie słuszna. Nie mamy tu zatem do czynienia z fałszem, a jedynie z pewnego rodzaju uproszczeniem, skrótem, rzutowaniem w wąskie ściany starego dworku tego, co dokonywało się gdzieś pomiędzy tysiącami podobnych dworków, co tworzyło atmosferę konspiracji i wyładowywało się w mnóstwie artykułów podziemnej prasy i rozmów pomiędzy politykami. Bo też dramat Ważyka nie jest sztuką historyczną, ani obyczajową, lecz polityczną i jako taka jest bezbłędny, pomimo wszystkich nieprawdziwości poszczególnych realiów.

Trzeba jednak stwierdzić, że „Stary dworek" obarczony jest pewną słabością, którą w przestarzałej już nieco terminologii można by chyba nazwać niedopasowaniem formy do treści. Chodzi tu po prostu o nieodpowiedniość dwóch warstw dramatu: warstwy konstrukcji ideologicznych i warstwy fabularnej mającej tę konstrukcję reprezentować. Fabularnie mamy bowiem do czynienia ze sztuką, przypominającą nieco pewne utwory Czechowa — sztuką pełną subtelnego uroku, nastroju i odznaczającą się kunsztowną prostotą poetyckiego słowa. Istotna, ideologiczna treść sztuki harmonizowałaby niewątpliwie z bogatszym roztoczeniem perspektyw intelektualnych, ale wtedy rozpychałyby one realistyczne ramy utworu; natomiast formalna koncepcja „Starego dworku" wymagałaby znacznie bardziej szczegółowego wyrzeźbienia tego małego skrawka rzeczywistości i sprowadzenia konkretnych sytuacji do granic historyczno-obyczajowych prawdopodobieństwa, co nie mogłoby obyć się bez szkody dla ładunku ideologicznego.

Zdaję sobie sprawę, że teatr znajduje się w szczególnie trudnym położeniu przy wystawianiu tego typu sztuki. *Pójście* po linii fabularnej grozi nieprawdopodobieństwem pewnych ważnych dla *akcji* sytuacji, które wówczas muszą *być* traktowane zupełnie dosłownie i na serio, ale pozwala za to wydobyć do końca urok powierzchni tej sztuki, pisanej — to od razu widać — przez doskonałego poetę. Perfyflowanie niektórych elementów wątku fabularnego kusiłoby może bardziej, gdyby ramy indywidualne zawartej w sztuce ideologii nie były tak ascetycznie oszczędne i nie ograniczały się do jednym rzutem po prostej zarysowanego jednego problemu. Mimo to mam wrażenie, że należało raczej wybrać tę drugą formę, ponieważ pozwala ona na większą swobodę w rozkładaniu akcentów i jaśniej ukazuje istotną zawartość treściową przez podkreślenie, że nie tyle ważne jest w tym spektaklu prawdopodobieństwo tego czy innego fragmentu, ile prawda syntetycznego ujęcia. Reżyser (W. Krasnowiecki) wybrał drogę pierwszą. Włożył sporo rzetelnego wysiłku w prawidłowe uplastycznienie myśli autora przez odpowiednią kompozycję poszczególnych scen i osiągnął tyle, że sens utworu zanalizowany jest istotnie bezbłędnie, a psychologiczne rozwiązanie poszczególnych scen — mimo skąpego tekstu — wydaje się właściwe, staranne i wykazuje sporo inwencji. Nie mógł natomiast zapobiec nieporozumieniom i nieufnościom, usprawiedliwionym u widza, domyślającego się z kształtu inscenizacji dramatu historyczno-obyczajowego.

Nie potrafiła również reżyseria opanować do końca gry aktorskiej, która obok staranności i dobrej woli wykazuje czasem pewną dezorientację. Chodzi mi o to, że wykonawcy stosunkowo dużo uwagi musieli poświęcić pewnym niedopowiedzeniom tekstu, wypełnić swoje postacie sceniczne własną wynalazczością. W spektaklu da się zauważyć dość znaczną koordynację wysiłków na tym polu, ale nie jest ona doprowadzona do końca. Poza tym postaci sceniczne, które autor w trosce o ich typowość obdarzył szczupłym stosunkowo, jednostronnym zakresem reakcji i sposobów postępowania, mogą grozić w interpretacji scenicznej pewną monotonią. Wydaje mi się, że należało bardziej urozmaicić poszczególne sceny — zwłaszcza dwu pierwszych aktów — sposobami czysto teatralnymi.

Najplastyczniej wypada postać Maryny, z dużą pasią odtworzona przez B. Rachwalską. Wydaje mi się zresztą, że wszystkie role zostały na ogół ujęte w sposób właściwy — oczywiście w ramach nakreślonych przez reżyserię — braków dopatrzeć się można raczej właśnie w zamało bogatym, zbyt monotonnym ich wypełnieniu.

W każdym razie można to powiedzieć o interpretacji roli pani Stanickiej (J. Macherska), poza tym bardzo trafnej, wykraczającej nawet chwilami poza ogólny ton widowiska w kierunku lekkiej karykatury, ale właśnie przez to odmiennej w postawieniu roli od innych postaci; i częściowo o Michale Stanickim (W. Staszewski), roli również bezbłędnie i artystycznie opracowanej i nawet urozmaiconej psychologicznie, ale — takie mam wrażenie — za mało ostrej, zbyt dyskretnej. J. Węgrzyn jako Lalewicz bardzo nadbudował i uplastycznił swoją postać, nadał jej dużo psychologicznej zrozumiałości przez stworzenie z niej figury tępego starca; wydaje mi się jedynie, że zbyt często stosował pewne podobne środki ekspresji, co robiło wrażenie trochę przesadne. Zarzut nadużywania jednakowych chwytów scenicznych (głosowo i mimicznie) odnosi się również do W. Nawrockiej, dobrej w trudnej roli Heleny w tych momentach, gdy nie starała się na siłę dorównywać poetyckiemu tekstowi swej roli nieco sztucznym liryzmem interpretacji.

Dobrze, że J. Świderski dostał rolę Piotra Galińca. Dobrze przede wszystkim dla niego, bo ten typ ról — bardziej prosty, surowy, jeśli nadający się do stylizowania, to raczej w kierunku „charakterystycznym" — pozwoli mu uwolnić się z nieco manierycznego liryzmu, który mu groził. Obecne ujęcie roli było właściwe — Galiniec jest inteligentem, nie wojakiem. Mimo to, zwłaszcza w ostatnim akcie należałoby może dać tej postaci jeszcze więcej siły; powinna ona stać się centralnym punktem tego aktu. T. Fijewski jako Józek wygrywał bardzo interesująco i plastycznie poszczególne momenty swojej roli, ale nie potrafił przezwyciężyć niekonsekwencji, wynikającej ze skondensowania w tej postaci przez autora historii chłopa polskiego na przestrzeni niemal że wieku. Plastyczną i pełną sylwetkę sierżanta Śliwy nakreślił w dwóch króciutkich epizodach Z. Skowroński.

Dekoracje O. Axera wydają mi się bardzo trafne w swoim prostym, skrótowym realiźmie.

Edward Csató

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(List szósty)

Z racji swego patronowania najmłodszym piszącym — mam jeszcze jedną możność wglądnąć w stosunki krakowskie. Wśród adeptów sztuki pisarskiej i publicystycznej znajdują się także uczniowie licealni. Wczytuję się z zainteresowaniem w żale młodzieży. Muszę powiedzieć — raczej z zadowoleniem — że wśród tych startujących stylów coraz mniej mętnej, romantycznej frazeologii, coraz więcej myśli. Czasami z jednego drobnego artykuliku można dowiedzieć się rzeczy naprawdę ciekawych. Podwójnie — ze względu na przytaczane fakty, jak i ze względu na stanowisko autorów.

Krytyka panujących konserwatywnie porządków w szkole jest coraz śmielsza. Uczniowie myślą niekiedy naprawdę postępowo. Jedna z przyszłych pisarek oburza się na stanowisko swojej nauczycielki, wykładającej „zagadnienie życia współczesnego". W wykładach tych nauczycielka stara się podsycać w słuchaczkach kompleks niższości narodowej. „Niemcy są niezastąpieni na Ziemiach Zachodnich — jako fachowcy — cytuję dosłownie — nigdy nam się nie uda postawić produkcji w ten sposób, żeby Europa Zachodnia była z nas naprawdę zadowolona..." „Nie dorośliśmy do Ziem Zachodnich".

Podobnie nieprzejednane stanowisko względem programu reform i utrzymania polskiego stanu posiadania ma prefekt tegoż gimnazjum...

Tak, prawda myślenia krakowskiego potwierdza się niestety praktycznie na każdym niemal kroku.

*

Inna uczennica pisze mi o swoim katechecie w sposób zadziwiająco prosty i przekonywujący. Prefekt gimnazjum krakowskiego utrzymuje wśród uczennic wersję, „że kościół jest obecnie w Polsce prześladowany". Prześladowany — ponieważ, jeśli chodzi o szkołę dawniej uczniowie katolicy uczyli się religii pod przymusem, a dziś uczą się dobrowolnie. Młoda felietonistka rozumuje słusznie: zmieniły się stosunki na lepsze, nawet dla kościoła — ileż więcej warta wiara zdobyta wolnym i szczerym przekonaniem! Przeświadczenia tego nie umie zdobyć ksiądz-prefekt. Człowiek zupełnie dojrzały intelektualnie?

*

Niestety dużo gorzej jest z publicystyką dojrzałą.

„Tygodnik Powszechny" poświęcił w ostatnich czasach wiele uwagi mojemu nazwisku. — Przeciętny czytelnik mógłby nawet myśleć, że moja osoba jest najżywszym zjawiskiem jeśli nie kraju — to w każdym razie miasta Krakowa. Sam układ wersji był też fantastycznie żywotny. W środku numeru stawiano mnie za wzór innym humanistom, na ostatniej stronie starano się przekonać czytającego, że nie tylko z humanistyką, ale z przeciętną uczciwością nie mam nic wspólnego. Raz, — że jak nikt potrafię uczyć przyjaźni — drugi raz, że jestem nieprzyjacielem ludzi, świata myśli i wszelkiego chrześcijańskiego sensu. Czyta dobry człowiek jedno pismo i o mało nie zwariuje. Łaskawi księża, trochę współczucia z katolikami bez politycznego wykształcenia!

Naprawdę nie jest tak źle z Krakowem, są inne większe zmartwienia w tym mieście. Nie potrzeba szaleć z powodu jednego nazwiska, bo można się trapić zjawiskami naprawdę prześladującymi atmosferę. Dosłownie. Oto o sto metrów od pięknego kościoła Franciszkanów na uroczych krakowskich plantach Niemcy kilka lat temu wykopali „sadzawkę przeciwlotniczą" — woda z latami wyschła, dół został. Obecnie do tego dołu zwozi się śmiecie ze wszystkich domowych śmietników — smród rozchodzi się na całą okolicę, grozi zarazą.

Kisiel, który chciałby w Polsce robić porządek na wzór czeski, nie czuje, że w Krakowie śmierdzi. Rozmawiałem wczoraj z autentycznymi Czechami: na to mi właśnie zwrócili uwagę: Smród — a obok piękny kościół, pałac metropolity... Do kościoła chodzą tłumy ludzi, znoszą cierpliwie, po chrześcijańsku fetor, ale nikomu nie wpadnie do głowy, że jedna ekipa ludzi, wracających z nabożeństwa mogła by z powodzeniem w ciągu godziny zasypać siedlisko zarazy.

Kisiel, sądząc po jego publicystyce intelektualnej, ma dużo temperamentu fizycznego. Na pewno, nawet sam, przez jeden dzień zasypałby dół. Byłaby to jego pierwsza produktywna praca. Pisze wiele rzekomo mądrych rzeczy, ale sens zawsze jest jeden. Trzeba siedzieć z założonymi rękoma, bo wszelki obecny postęp jest hańbą. Wszelka działalność godzi w podstawy polskiej odrębności.

Ale że może obraz kościoła i dołu jest najcharakterystyczniejszą cechą krakowskiej opozycji, tego nie umie zauważyć. Zauważa to przede wszystkim każdy cudzoziemiec.

*

Kisiel czyni mi zarzuty natury moralnej, ponieważ postawę czysto artystyczną zdradziłem dla postępu. Nikt mi jeszcze z tego powodu nie czynił wyrzutów. Nic się nie zmieniło w zasadach mego pisarskiego stylu, że uaktywniła się problematyka humanistyczna, któż przy zdrowych zmysłach może nad tym boleć. Cieszą się z tego i marksiści i rozsądni katolicy, nawet w tymże „Tygodniku Powszechnym".

Nie podoba się Kisielowi, że jestem obecnie czynny i pracowity organizacyjnie. Zupełnie obłąkane pretensje. I pisze to człowiek, chwalący zachodni typ cywilizacji. I pisze to człowiek, który korzysta z dobrodziejstw organizacyjnej aktywności pisarzy.

Doprawdy wielka jest nasza cierpliwość. Co — może i to jest złe, że każdy piszący korzysta z niemal bezpłatnego mieszkania w specjalnym eksterytorialnym domu? Co — może to jest złe, że za trud pracy społecznej Polewki, Fijasa, Wyki, Andrzejewskiego — Kisielewski żyje bez niewygód, na które narażony jest jeszcze każdy produktywny robotnik?

Ale jak dyskutować z człowiekiem, którego jedyną umysłową racją jest integralny, krakowski opozycjonizm!

*

Miał mi „Tygodnik Powszechny" przysłać z polecenia Kisiela spis książek uwydatniających katolicką myśl w Polsce. Ale nie przysyła. Rozumiem, że nie będzie to łatwa sprawa. Bardzo bym był rad z takiego gestu. Zwłaszcza, gdyby książki takie miały jakikolwiek wpływ na czyny moralne tzw. wiernych. Albo, gdyby to były książki, uczące myśleć. Myśleć, to znaczy pośredniczyć między przekonaniem uczuciowym a uczynkiem w imię dobra społecznego. Oczywiście nie mogą to być plagiaty myśli francuskiej. Taka jest bowiem różnica między społecznością katolicką francuską i polską, że wzory nieoryginalne na nic by się nie zdały.

Skolei pyta mnie Kisiel o znajomość doktryny Marksa. Mogę zaręczyć, że ludzi pracujących nikt doktrynami w Polsce nie męczy. Na razie są ważniejsze sprawy do zrobienia — chociażby ta, żeby syn i córka Stefana Kisielewskiego nie zmarzły w czasie zbliżającej się zimy, albo, żeby w czasie spaceru w sławetnym, klerykalnym województwie nie znalazły śmierci. Rolnik, robotnik, żołnierz, walczący o spokój rodzin Wiśniewskich, Zielińskich czy Kisielewskich może nie czytać Marksa — ale pracą i walką wypełnia doktrynę nie tylko socjalizmu, ale również miłości ojczyzny i ludzkości.

*

Natomiast pochwalić powinienem polemikę felietonistów „Dziś i Jutro" z moim ostatnim listem. Znajduje się w niej kilka rzeczowych dopełnień. Rzeczywiście reformacja pobudziła aktywność kulturalną polskich ortodoksyjnych katolików. Takie dwustronne oświetlenie ważnego okresu historycznego może się rzeczywiście przyczynić do wzbudzenia poważnych zainteresowań współczesnych czytelników czasopism. Nie lekceważmy tych czytelników. Na pewno bardziej ich obchodzi historia ruchów społecznych, politycznych, religijnych, niż to, do jakiej kawiarni chodził przed drugą wojną światową p. Otwinowski z p. Gombrowiczem — lub to, co o moim stosunku do Marksa sądzi p. Kisiel.

Trzeba zresztą przyznać, że kawiarnie warszawskie odegrały pewną rolę w życiu intelektualistów polskich. Trzeba również przyznać rację, że kto jak kto, ale p. Kisiel ma tym kawiarniom specjalnie dużo do zawdzięczenia, bo jak widać z jego obecnej działalności styl jego ogranicza się wyłącznie do kawiarnianego sposobu polemiki.

Stefan Otwinowski

NOTY

Przyrost nadnaturalny

Ilość pism codziennych i periodycznych rośnie z zawstydzającym wszystkie inne dziedziny życia pośpiechem. Szybciej, niż przyrost naturalny, szybciej niż statystyka wypadków nieszczęśliwych i szczęśliwych ozdrowień.

Zaledwie pojawił się, czy raczej zabrzmiał „Głos borów nadbałtyckich", już od powiedziały mu z lasów tucholskich „Rogi myśliwskie", pismo dla leśników, zaledwie ukazał się młodzieżowy „Zryw", już współzawodniczy z nim „Pokolenie". Wychodzi „Młoda Rzeczpospolita", miejmy nadzieję, że wkrótce pojawi się „Młody Robotnik" i „Głos Młodego Ludu". Z dobrze poinformowanych kół donoszą, że możemy w bliskim już czasie spodziewać się pisma „Pobudka dla emerytów" i przeznaczonego dla dzieci tygodnika „Trybunka wolności". W Rybnikach już ukazały się „Więcierze", w Sopocie „Skwir mew słowiańskich", w Kielcach: „Milicjant wzorowy", w Radomiu: „Nam strzelać nie kazano" oraz „Matecznik". Oprócz „Tygodnika Powszechnego", „Tygodnika Warszawskiego", „Dziś i Jutro" i kilku innych w tym guście, opuszczą prasę tygodniki: „Prymas świątobliwy", „Silva — res sacra" i tak dalej.

Podana wyżej lista nie jest, jak czytelnicy widzą, ani pełna, ani zamknięta. Daleko do tego! Mówię o tym nadnaturalnym wzroście pism ze zrozumiałą zawiścią. Dlaczego my, literaci, jesteśmy tak pokrzywdzeni? Dlaczego rozporządzamy tak nielicznymi w stosunku do innych zawodów i pór wieku ludzkiego pismami?

Skandal! Bo to, że w najbliższym miesiącu mają się pojawić dwa nowe tygodniki literackie w Warszawie: „Literatura" i „Wiadomości Literackie", nie rozwiązuje **palących potrzeb realizacji literatury**, mówiąc **wspólnym językiem** dykcjonarza współczesnego. Nie rozwiązuje, nie realizuje — i basta! Dopiero gdy każdy z literatów — jak twierdzi Ważyk — będzie rozporządzał własnym pismem, wytchniemy i zrealizujemy.

Proponuję dla przykładu koledze Ważykowi realizację pisma literackiego pod jego własnym nazwiskiem — tytułem. Dygatowi również. Jest to rozwiązanie najwłaściwsze, ponieważ literaci i tak nie mogą nastarczyć, niech więc lepiej obsługują porządnie — każdy własne pismo. Literackim tygodnikom warszawskim i tak to nie zaszkodzi, bo sądząc po tych, co już są, nie wiele z nich będzie pociechy.

Redakcję zbiorową nad tygodnikami literatów płci męskiej, ze szczególnym uwzględnieniem pisarzy krakowskich objąłby Karol Kuryluk, pismami autorów płci pięknej zająłby się oczywiście Stefan Żółkiewski. Neutralni mogliby się skupić wokół tygodnika „Uczta" albo „Fajdros".

O sobie nie piszę, gdyż od dziewięciu miesięcy wyjeżdżam codzień do Szwajcarii, więc cały czas mam pochłonięty sprawunkami i przygotowaniami do podróży. Podobnie zresztą, jak koledzy Andrzejewski i Breza. Koleżanki Szelburg Zarembiny nie wymieniam, gdyż zabroniła mi mówić na ten temat, jak również na temat „Ministerstwa Kultury i Sztuki".

Przepraszam, że odbiegłem od tematu.

m. j.

O wolności religii

Bawiła w Polsce nie tak dawno wycieczka intelektualistów francuskich. Większość wśród nich stanowili księża. I to nie byle jak postawieni w hierarchii kościelnej. Po powrocie do swojej ojczyzny ogłosili wiele gruntownych i inteligentnych artykułów o Polsce. Stwierdzili wszyscy, że panuje u nas zupełna swoboda religijna. Treść ich prac świadczyła o bystrości spostrzeżeń, trafności sądu, obiektywiźmie. A jednak... a jednak chyba musieli się mylić? Bo ksiądz Hlond ile razy tylko może oświadcza, że swoboda kościoła katolickiego w Polsce została ograniczona. Ksiądz Hlond jest stale w kraju. Lepiej więc musi znać polskie stosunki, niż goście francuscy? Chyba, że posądzimy go o złą wolę, o niechęć do demokracji? Chyba, że wczytawszy się w lamenty Księdza Kardynała spostrzeżemy, że dla niego „niewola" kościoła polega na właściwym cywilizowanemu światu oddzieleniu kościoła od państwa? We Francji ten stan trwa od dawna i nie razi nikogo z duchownych francuskich.

To też gdy chcemy zrozumieć postawę niektórych z naszych duchownych, powinniśmy właśnie przypomnieć opinię cytowanych księży francuskich o księżach polskich. Patrzyli oni na nasze duchowieństwo z przerażeniem, mówili bez ogródek, że księża hiszpańscy wydawali im się dotąd szczytem ciemnoty i zacofania, mieli możność niezbicie stwierdzić, że reakcyjność polskiego kleru przerasta hiszpańską.

żłk.

Żarty Jana Szczawieja

W tych dniach ukazał się w prasie obszerny i zjadliwy felieton Jana Szczawieja z okazji ufundowania nagrody literackiej przez wydawcę E. Kuthana. Felieton ten w tonie sarkastycznym porównuje inicjatywę wydawcy, który, jak wiadomo, niemal na wstępie, swojej dopiero co rozpoczętej działalności wszedł w ostry zatarg z łódzkim oddziałem Związku Literatów, ze słynną, mającą poważne znaczenie we francuskim życiu literackim nagrodą imienia braci Goncourtów. Omawiając ufundowane dotąd w kraju nagrody literackie, Jan Szczawiej pisze: „Nie było jednak dotychczas żadnej nagrody ufundowanej przez prywatną firmę wydawniczą w rodzaju francuskiej nagrody Goncourtów". Bracia Goncourt, jak wiadomo, byli znakomitymi pisarzami. E. Kuthan jest młodym wydawcą, który właśnie z niejednym już pisarzem zadarł. Ironia felietonisty byłaby na miejscu gdyby nie to, że Jan Szczawiej rozciąga ją przy okazji na prywatną działalność wydawniczą w ogóle, pisząc: „Nie ma chyba potrzeby podkreślać, jakie ma znaczenie piękna inicjatywa prywatnego wydawcy, dokoła którego w ostatnich miesiącach jeden z łódzkich pisarzy tyle niezdrowego narobił hałasu! Zarzuty stawiane publicznie przez literatów E. Kuthanowi nie mogą rzucać cienia na inne prywatne wydawnictwa, wśród których są i wydawnictwa zasłużone, skrupulatnie przestrzegające umów z pisarzami. Gdyby któraś spółdzielnia wydawnicza skrzywdziła kilku pisarzy, nie dawałoby to jeszcze asumptu p. Szczawiejowi do pokpiwania sobie ze spółdzielni w ogóle. Kpiarstwo p. J. Szczawieja staje się zwłaszcza niesmaczne, kiedy dotyka pisarzy, którzy zasiadali w jury nagrody E. Kuthana, P. J. Szczawiej próbuje ośmieszyć ich przesadnymi epitetami, gdy tymczasem można znaleźć wśród nich rzeczywiście nazwiska reprezentujące poważny dorobek literacki. Czy słusznie postąpili pisarze, biorąc udział w jury, dopóki wydawca E. Kuthan nie zaspokoił pretensji materialnych i moralnych ich kolegów, to już sprawa solidarności zawodowej. Bądź co bądź p. Szczawiej grubo przesadził, bawiąc się kosztem pisarzy i zwłaszcza Bogu ducha winnych laureatów: „Błysnęły lampy projekcyjne, dokonane zostały przez sympatycznego młodego porucznika zdjęcia laureatów i zgromadzonych gości, poczem oczywiście po wzniesieniu odpowiednich toastów brzęknęły kieliszki". A następnie: „Trudno nie zanotować wprost wzruszającego przemówienia fundatora pierwszej w Polsce prywatnej nagrody literackiej Eugeniusza Kuthana, który okazał się nietylko zdolnym wydawcą, ale i dobrym mówcą..." Wreszcie na zakończenie p. Szczawiej użył sobie na całego:

„Jeśli już o tym mówię, niechże dla przyszłych badaczy zostanie i ta wiadomość, że na bankiecie literackim z okazji wręczenia laureatom polskiej nagrody Goncourtów autor „Plutonu z Dzikiej Łąki" nie tylko wygłosił kilka pięknych przemówień, nie tylko składał wzruszające oświadczenia o treści politycznej na temat PSL-u i PPR-u, podziwiane specjalnie przez legendarną Wandę Padwę, ale i cudownie za moją namową odśpiewał ulubioną przez nas obydwu arię z Króla Włóczęgów „My niebieskie ptaszki, bracia złodziejaszki", podczas gdy drugi laureat, Wojciech Żukrowski szeroko otwartymi oczami, jakby cokolwiek zdziwiony, tylko przypatrywał się tej całej uroczystości".

Felietonista oszczędził przynajmniej młodego pisarza Żukrowskiego. Dobre i to. Złośliwości skupiły się natomiast na Michałku Rusinku, autorze „Plutonu z Dzikiej Łąki". Czy dlatego, że Michał Rusinek jest równocześnie urzędnikiem Ministerstwa Kultury i Sztuki? Fakt ten z pewnością nie upoważnia jeszcze p. Szczawieja do odśpiewywania z nim niedwuznacznej arii.

Lubimy ironię. Lubimy kpiarstwo służące słusznej sprawie. Nie pochwalamy gruboskórnych żartów, ani tym bardziej — niczym nieuzasadnionych insynuacji pod adresem literatów czy urzędników państwowych.

„Kuźnica" chętnie ogłaszała listy o działalności E. Kuthana i nadal je będzie ogłaszać, jeśli ten „zdolny wydawca i dobry mówca" nie zmieni swojego postępowania, ale takiego sprzymierzeńca, jak p. Szczawiej, nam nie trzeba. W tym wszystkim jedno jest tylko zabawne. Na satyryczny felieton p. Szczawieja p. t. „Polska Nagroda Goncourtów" dała się nabrać „Gazeta Ludowa", która ogłosiła żarty p. Szczawieja w Nr. 276, w dodatku p. t. *„Kultura"*. *Naiwność „Gazety Ludowej"* w sprawach literackich jest aż nadto znana, redakcja mogła się nie zorientować, że Goncourtowie, to nie prywatna spółka wydawnicza, ale znani pisarze francuscy. Tylko, że — jak wydawało nam się dotychczas — niewybredne kpiny z prywatnej inicjatywy nie były specjalnością „Gazety Ludowej".

rkm.

„Pieśń gminna"

Znów, jak przed wojną, przeżywamy zalew piosenek, zawierających wszystkie siedem grzechów głównych przeciw wymogom jakiegokolwiek dopuszczalnego poziomu.

Na rogu każdej ulicy każdego miasta nie kupi się podręcznika szkolnego, lecz można za to za 10 zł. kupić któryś tam skolei kolorowy zbiorek „ostatnich nowości z filmów, radia i płyt".

Przoduje Łódź! Oto zwrotki z utworu „Tragiczna śmierć rodziny pijaka czyli za winy niepopełnione" (druk. Bronowski, Łódź, Północna 7, nakł. Leszniewski, Ruda Pabj. Żeromskiego 8):

Żył pijak z dzieckiem i ze swą żoną
Gdzieś na poddaszu w miasteczku
Już miał naturę wykolejoną
Życie truł żonie i dziecku

W kilku dalszych równie wstrząsających zwrotkach, żona nie może tego znieść i postanawia zastrzelić córkę Halinę oraz siebie:

Gdy żadne słowa nie pomagały
Cierpliwość się wyczerpała.
Z Halinką skończyć ten żywot cały
Już sobie uplanowała.

W sposób tajemny dla nas nieznany
Broń palną sobie zdobyła
Gdy mąż nad ranem leżał pijany
Ona Halinkę zbudziła.

Poszły obie w pole i tam — bach! bach! — w objęciach skonały. W międzyczasie budzi się ponury, jak ta piosenka, pijak, słyszy strzały i również biegnie w pole. Ale, że zapóźno, więc także bęc:

W tym szale wyrwał broń z żony ręki
I sobie w usta wystrzelił
Padł na dwa ciała, ucichły jęki
Tu krwią się z niemi podzielił.

I tak trzy trupy leżały w polu
Pomyśleć krew nam się ścina
Wszyscy w objęciach wśród zbóż kąkolu
Taka to wódka przyczyna.

Czytając to wszystko marzę:

„O gdybym ja miał rewolwer tenże
nabity groźnie kulami
tobym zastrzelił te wszystkie męże
co karmią nas „piosenkami"!

I by leżały wśród zbóż kąkoły
Autor, wydawca i cenzor
niepochowane na polu,
niechby ich lizał psa jęzor!..."

łk.

Komunikat

Związek Autorów, Kompozytorów i Wydawców ZAIKS uprzejmie prosi niżej wyszczególnionych literatów i kompozytorów względnie ich spadkobierców o zgłoszenie się we własnym interesie do Dyrekcji Zaiksu, Warszawa, ul. Śniadeckich 10, względnie o zakomunikowanie pod tymże adresem wszelkich informacji, które by się odnosiły do miejsca pobytu tych autorów i spadkobierców.

Chodzi przede wszystkim o następujących twórców, zarówno żyjących, jak i zmarłych: Biernacki, Cierniak, Dębicki, Górska, Hulewicz, Hulka-Laskowski, Korczak, Kuncewiczowa, Łaszczyński Al., Niewiadomski, Orkan, Orzeszkowa, Ossendowski, Pruszyński, Przybyszewski, Rytard, Bruno Skult, Statkowski, Szemplińska, Szutkiewicz, Świętochowski, Temerson, W. Tetmajer, Weysenhoff, Zagórski Włodzimierz, Zalewski K.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„K S I Ą Ż K A"
sierpień — wrzesień — 1946

POWIEŚĆ I NOWELA

ERENBURG
Upadek Paryża
zł. 300.—

K. BRANDYS
Miasto niepokonane
zł. 220.—

ST. OTWINOWSKI
Nagrobek
zł. 160.—

A. MAKARENKO
Poemat pedagogiczny
zł. 120.—

A. RUDNICKI
Wrzesień
zł. 35.—

Lato
zł. 120.—

Uśmiech żandarma
zł. 35.—

ARAGON
Niewola i wielkość Francuzów

„K S I Ą Ż K A"

NOWOŚCI INSTYTUTU ZACHODNIEGO

	cena zł.
Maria Kiełczewska: O podstawy geograficzne Polski, str. 144 16 mapek	200.—
Marian Friedberg: Kultura polska a niemiecka, t. I—II, str. 363 i 310 za całość. . .	500.—
Alfons Klafkowski: Okupacja niemiecka w Polsce w świetle prawa narodów, str. 196 .	200.—
Bogumił Krygowski, Stanisława Zajchowska: Ziemia Lubuska, Opis geograficzny i gospodarczy, str. 287	300.—
Bożena Stelmachowska: Zdobnictwo ludowe Ziemi Pyrzyckiej, 4°, str. 34	100.—

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„K S I Ą Ż K A"
sierpień — wrzesień — 1946

EKONOMIA FILOZOFIA

K. KAUTSKY
Nauki ekonomiczne Karola Marksa
zł. 80.—

J. PLECHANOW
Materialistyczne pojmowanie dziejów

A. SZAFF
Pogadanki ekonomiczne wyd. II
zł. 26.—

K. MARKS i F. ENGELS
O materializmie historycznym wyd. II
zł. 25.—

FR. ENGELS
Ludwik Feuerbach i zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej
wyd. II zł. 30.—

„K S I Ą Ż K A"

Nr 40

Żółkiewski Stefan — Po dyskusji nad ordynacją wyborczą. **Zawilski Apoloniusz** — Przyczyny klęski wrześniowej. **Gruszczyński Krzysztof** — wiersze. **Kott Jan** — Tydzień paryski. **Ciano Galeazzo** — Pamiętniki. **Rudnicki Adolf** — Szekspir. **Puszkin Aleksander** — Osobowość i społeczeństwo. **Rojewski Jan** — Albert Harris bohater naszych czasów. **Dudziński Bolesław** — Jak pani Eirlejowa ze świętymi tańcowała, albo jak Karmelici Jezuitów w kozi róg zapędzili. **Szuster Edward** — Poszukiwania w przeszłości. **Żuławski Juliusz** — Wystawa obrazów. **Przegląd prasy. Noty.**

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel 205-42.

D—09592

Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.